

zwrot

9
25

MIESIĘCZNIK POLSKIEGO ZWIĄZKU
KULTURALNO-OŚWIATOWEGO W RC
CENA 50 KČ
WWW.ZWROT.CZ

JAKUB MRÓZEK

ISSN 0139-6277



9 770139 627003 >

1-3 W Jabłonkowie odbyło się 78. *Gorolski Święto* – trzydniowy festiwal folkloru, tradycji i muzyki, który przedstawił licznej widowni zespoły zaolziańskie, ale też z Polski, Czech, Słowacji, jak i z bardziej odległej zagranicy (m.in. Portugalii, Turcji, Meksyku). W niedzielę odbył się tradycyjnie barwny korowód. Wydarzeniu towarzyszyły warsztaty twórców ludowych, wystawy, rajd turystyczny, mecz piłki nożnej, strefa dziecięca, etc. Tradycyjnie na *Gorolu* zagościli przedstawiciele czeskich i polskich władz. Marszałek Senatu RP Małgorzata Kidawa-Błońska podkreśliła, że *Gorolski Święto* to wydarzenie o sile i mocy, które łączy ludzi o gorącym sercu, silnym temperamencie i góralskiej energii, dziękując jednocześnie samorządom i organizacjom polskim na Zaolziu za zachowanie tradycji i zaangażowanie w przekazywanie kultury młodszemu pokoleniu. ▼



1 W Lutyni Dolnej odbyło się coroczne spotkanie integracyjne Miejsowego Koła PZKO, w którym uczestniczyło blisko sześćdziesiąt osób – członków, rodzin i sympatyków. Tegoroczne wydarzenie odbyło się pod hasłem *Jan Paweł II w roku jubileuszowym*, upamiętniając 20. rocznicę śmierci papieża. W programie znalazły się konkursy – literacki *Pielgrzymuj śladami Jana Pawła II* oraz plastyczny inspirowany cytatem *Człowiekowi potrzebne jest piękno krajobrazu*. Uczestnicy mieli też okazję podczas prelekcji Marceli Suchánkowej poznać i wypróbować mniej znane instrumenty muzyczne, m.in. tybetańskie misy, kij deszczowy czy bębny szamańskie. Spotkanie zakończyła gra w bingo i muzyczna oprawa.

1 Podczas Kawiarenki pod Pegazem w Domu PZKO w Jabłonkowie profesor Daniel Kadłubiec wygłosił referat poświęcony poecie Janowi Pyszcze z Nawsia-Potoków z okazji stulecia jego urodzin. Pysko, nauczyciel matematyki i fizyki, działacz społeczny oraz reżyser teatru amatorskiego, wyróżniał się poetyckim stylem złożonym z wieloznacznych fraz, odrzucającym narrację na rzecz refleksyjnego odbioru. W interpretacji Karola Suszki zabrzmiały liczne wiersze poety.

2 W ramach Gorolskiego Święta rozegrano tradycyjny mecz oldbojów Orłów Zaolzia: drużyn Gorole vs Dolanie. Gra przebiegała spokojnie – bez bramek w regulaminowym czasie (2x30 minut) – dopiero w rzutach karnych lepsi okazali się Gorole, zwyciężając 7:6. W wydarzeniu brało udział 22 zawodników z regionu, arbitrem spotkania był Andrzej Bizon a spotkanie komentował Janusz Foltyn.

2 W Jabłonkowie, w Lasku Miejskim, odbył się Bieg Przełajowy *O gliniany dzbanek mleka*, towarzyszący Gorolskiemu Świętu, z rekordową frekwencją – wzięło w nim udział 209 osób, od przedszkolaków po doświadczonych biegaczy. ▼



2 XXX *Rajd o Kyrpce Macieja* przyciągnął 349 uczestników – rekordową liczbę – którzy w ramach Gorolskiego Święta wyruszyli na beskidzkie trasy. Na jubileuszową edycję organizatorzy przygotowali nowe trasy – obrazkową dla dzieci oraz z Istebnej i Kubalonki. Podczas finału w Lasku Miejskim wręczono wyróżnienia. *Kyrpce Macieja* otrzymali: najmłodszy uczestnik rajdu, którym była Lena Murawska, dorosły uczestnik wylosowany spośród osób powyżej 15. roku życia – Renata Czader oraz zasłużona *beskidzioczka* Aniela Macura.

2 W Żywocicach przy Pomniku Tragedii Żywocickiej odbyły się rocznicowe uroczystości upamiętniające wydarzenia z 6 sierpnia 1944 roku, kiedy niemieckie siły rozstrzelały 36 cywilów. Wśród uczestników uroczystości obecni byli przedstawiciele władz Hawierzowa, województwa morawsko-śląskiego, Ambasady RP w Pradze, Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie, organizacji polskich, instytucji czeskich i rodzin ofiar. Prowadząca uroczystości Jolanta Bałon podkreśliła, że pamięć o tragedii Żywocic jest symbolem cierpienia, oporu i ludzkiej straty. W programie wydarzenia znalazły się przemówienia, wspólna modlitwa polsko-czeska prowadzona przez pastora Jana Kożusznika, fragmenty książki *Świadectwo z Żywocic* Mečislava Boráka, występy artystyczne oraz symboliczne wypuszczenie 36 gołębi – po jednym za każdą ofiarę. ▼



3 Krystyna Mruzek i Tadeusz Filipczyk zostali uhonorowani Medalami Senatu Rzeczypospolitej Polskiej podczas Gorolskiego Święta w Jabłonkowie – wyróżnienia wręczyła im marszałek Małgorzata Kidawa-Błońska. Krystyna Mruzek, nauczycielka muzyki i działaczka lokalna, założyła w roku 1984 kapelę ludową *Nowina*, a potem kolejne zespoły. Wychowała cztery pokolenia muzyków i śpiewaków folklorystycznych. Znany gawędziarz Tadeusz Filipczyk natomiast przez blisko czterdzieści lat był jednym z głównych organizatorów Gorolskiego Święta.



5-10 Zespół *Łączka* z Bystrzycy uczestniczył w Międzynarodowym Dziecięcym Festiwalu Folklorystycznym *World Wide Kids 2025*, który odbywał się w Puławach, Nałęczowie i Janowcu. ▼



9 Miejskowe Koło PZKO w Gnojniku zorganizowało kolejne spotkanie *Phyniesz lato*, które na stałe wpisało się w kalendarz lokalnych wydarzeń. Wystąpiła Julia Stebel – absolwentka przedszkola, która zaśpiewała piosenkę *Bohater* z repertuaru zespołu *Małe TGD*, a główną muzyczną atrakcją był koncert zespołu *Muzykanci z Beskidów* prezentującego pieśni ludowe i religijne.

10 W Cierlicku Kościelecu odbył się tradycyjny Odpust Kościelecki – wydarzenie gromadzące mieszkańców w kościele pw. św. Wawrzyńca oraz w Domu Polskim im. Żwirki i Wigury, współorganizowane przez Gminę Cierlicko i Miejskowe Koło PZKO Cierlicko-Kościelec. W kościele celebrowano dwie msze święte (po czesku i po polsku), w Domu Polskim można było odwiedzić odpustową kawiarenkę z kołaczami i innymi smakołykami. Organizatorzy przygotowali także wystawę obrazów olejnych Bronisława Liburdy.

11 W Bystrzycy przy Domu Seniora odbyły się warsztaty tradycyjnego koszenia kosą, zorganizowane przez Muzeum i Centrum Informacyjne z inicjatywy Janka Michalika. Wydarzenie było okazją, by w praktyce przypomnieć dawne metody pracy na roli – uczestnicy, wśród których znaleźli się seniorzy, dzieci i pensjonariusze domu opieki, mogli spróbować swoich sił w koszeniu oraz zobaczyć, jak prawidłowo ostrzy się i klepie kosę. ▼



14 W Bystrzycy zainaugurowano sezon dożynkowy koło Domu Pomocy Społecznej. Uroczystość otworzył wójt gminy Roman Wróbel, a do modlitwy i poświęcenia wieńca zaproszono przedstawicieli trzech Kościołów: biskupa Śląskiego Kościoła Ewangelickiego Jana Wacławka, biskupa Kościoła Luterńskiego Ladisława Děvečkę oraz księdza parafii rzymskokatolickiej Alfreda Volnego. W części artystycznej wystąpiły zespoły taneczne *Trowniczek* i *Łączka* oraz kapela *Nowina*, a wieczorem do zabawy przygrywała orkiestra dęta *Hlučňanka*. ▼



16 W Piotrowicach koło Karwiny odbyła się IX edycja Rajdu Kolarskiego *Śladami Powstańców I Powstania Śląskiego*, w której wzięło udział blisko sto osób. Trasa licząca około 30 kilometrów przebiegała przez Godów, Karwinę i Zebrzydowice, a meta znajdowała się w miejscu, gdzie 106 lat temu rozpoczęły się walki powstań-



cze. Na finiszu uczestników powitała kapela *Bukóří* a także poczęstunek. Inicjatorem rajdu jest Stanisław Gawlik.

16 W Lesznej Dolnej odbyła się XIX edycja Przeglądu Kapel Ludowych z Trójstoku, organizowana przez Miejskowe Koło PZKO Leszna Dolna, która zgromadziła miłośników folkloru, tradycji i lokalnej kuchni. Cztery zespoły – *Cimbálová muzika Lipka* z Ostrawy, *Kapela Świerczyni* z Łomnej Dolnej, *Čapkovci* ze Skalitégo oraz *Maliniorze* z Brennej – zaprezentowały się na plenerowej scenie. ▼



20-25 W Gdyni odbywał się V Międzynarodowy Polonijny Turniej Tenisa Ziemnego, w którym startowało ponad 80 uczestników z 13 krajów, w tym reprezentanci Zaolzia. Polacy z Republiki Czeskiej występowali w barwach PTTS *Beskid Śląski* i wrócili do swoich domów z pięcioma pucharami. Złoto w singlu oraz deblu (w parze z Katariną Lubecką) zdobyła Jola Śleszarowa. Złoto zdobył również Zbigniew Nowak oraz w deblu Tadeusz Łakota z Adamem Kujawą. Srebrne krążki wywalczyły w deblu Karin Farna, Irena Nowak, a brązowe kruszce trafiły w singlu do Karin Farnej, Arnolda Sikory i Tadeusza Łakoty.

21 Zespół Taneczny *Oldrzychowice* zdobył podczas 56. Międzynarodowego Festiwalu Folkloru Ziem Górskich w Zakopanem *Brązową Ciupagę*. Oprócz tej prestiżowej nagrody, *Oldrzychowice* otrzymały wyróżnienie Narodowego Instytutu Kultury i Dziedzictwa Wsi za autentyczność folkloru, wysoki poziom artystyczny i aktywną promocję kultury Zaolzia na arenie międzynarodowej. W konkursowym występie zespół przeniósł publiczność do roku 1877, odtwarzając scenę przybycia arcyksięcia Rudolfa Habsburga do Wędrzyni. ▼



LISTY: Na Zaolziu i Wileńszczyźnie
Rozmowy o życiu Polaków | 3

ROZMOWA ZWROTU: Jakub Mrózek
– artysta z humorem, duszą i pędzlem | 4

WILAMOWICE:
Członkowie Sekcji Ludoznawczej PZKO
zwiedzali Wilamowice | 10

NASZE KLUBY: Klub Przyjaciół Sportu
przy MK PZKO Olbrachcice | 15

PAMIĄTKA RODZINNA:
Z Archiwum Z. Pamiątki rodzinne
czytelników „Zwrotu” na wystawie
w Muzeum Mazowieckim w Płocku | 18

REPORTAŻ:
Lubeka braci Mannów oraz wille nad
jeziorem Wannsee i w Poczdamie | 22

LITERATURA:
Zbigniew Herbert – Na taką miłość nas
skazali, taką przebudli nas ojczyznę | 26

MŁODZIEŻ:
Język angielski dopasowany
do uczniów w szkole | 28

REGION:
Dawnych wspomnień czar. Absolwenci
pięcioklasówki w Trzyńcu-Kanadzie
spotkali się 80 lat od powstania szkoły | 31

HISTORIA:
W ciszy armat padła | 34

REPORTAŻ:
Wolontariat za granicą – przeżycie, które
otwiera serce i pozwala na bycie lepszym | 36
Festiwal średniowieczny w Óbidos, sposób
na przeniesienie się w przeszłość | 40

MUZYKA:
Henryk Mikołaj Górecki – Wspomnienie
w 15. rocznicę śmierci i refleksja
o motywie matki w jego twórczości | 43

SPACER ZWROTU:
Spacery Zwrotu z prezesami
miejscowych kół PZKO: Nawisie | 46

SZANOWNY CZYTELNIKU

Zapraszamy do wsparcia zbiórki publicznej na kontynuację remontu budynku biurowego PZKO przy ul. Strzelniczej 209/28 w Cz. Cieszynie. Dzięki Twojej pomocy będziemy mogli zapewnić nowoczesne i funkcjonalne przestrzenie, które będą służyć wszystkim Polakom na Zaolziu.

DLACZEGO WARTO NAS WESPRZEĆ?

W latach 2018–2023 udało nam się zrealizować wiele ważnych projektów w wysokości 18 500 900 koron. Osuszono budynek, wyremontowano piwnice oraz Klub Dziupla, zmodernizowano pomieszczenia na parterze.

Mimo tych sukcesów, potrzebujemy jeszcze Waszego wsparcia na dalszą część remontu w latach 2024–2025. W planach mamy remont dachu, czwartego piętra, wymianę okien oraz ocieplenie budynku. Przewidywany koszt to 11 000 000 CZK.

Ten budynek stanie się wizytówką polskiej społeczności w Czechach, symboli-

zując naszą jedność, historię i aspiracje.

JAK MOŻESZ POMÓC?

Możesz dokonać wpłaty na nasze konto transparentne:

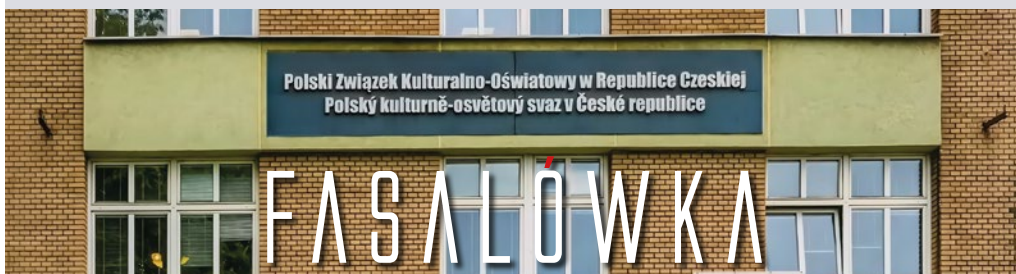
FIO Banka 2602159122/2010

Potwierdzenie o wpłacie dla celów podatkowych można podjąć w Biurze ZG PZKO.

Wspólnie możemy stworzyć lepsze miejsce dla wszystkich Polaków na Zaolziu.

Dziękujemy za wsparcie! Każda wpłata ma ogromne znaczenie!

Zarząd Główny PZKO



ZBIÓRKA PUBLICZNA

Cel: Remont siedziby ZG PZKO

Czeski Cieszyn, Strzelnicza 209/28

Konto: 2602159122/2010



QR Platba

zwrot

magazyn regionalny

nr ewidencyjny MK ČR E 389, rok LXXVI, nr 910

Projekt finansowany ze środków Ministerstwa Spraw Zagranicznych w ramach konkursu pn. Polonia i Polacy za granicą 2023 ogłoszonego przez Kancelarię Prezesa Rady Ministrów.

Publikacje wyrażają jedynie poglądy autorów i nie mogą być utożsamiane z oficjalnym stanowiskiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych RP ani Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie” im. Jana Olszewskiego.

Zadanie współfinansowane ze środków Kancelarii Senatu w ramach sprawowania opieki Senatu Rzeczypospolitej Polskiej nad Polonią i Polakami za granicą w 2025 roku.



Wydawca: Polski Związek Kulturalno-Oświatowy w Republice Czeskiej przy wsparciu finansowym Ministerstwa Kultury Republiki Czeskiej. IČ 442771, numer konta: 232992221/0300

Redakcja: Halina Szczotka / redaktor naczelny / halina.szczotka@zwrot.cz
Beata Tyrna / redaktor / indi@zwrot.cz
Śárka Michalik / sekretariat / info@zwrot.cz

Administracja redakcji: gmach ZG PZKO, I piętro, ul. Strzelnicza 28, Český Těšín (Czeski Cieszyn), czynna w poniedziałki 8–12 i 13–16, wtorki i środy 8–12

Adres redakcji: ul. Strzelnicza 28, P. O. BOX 97, 737 01 Český Těšín (Czeski Cieszyn) tel.: 558 711 582 / www.zwrot.cz

Okładka: fot. Marian Siedlaczek / Redakcja obrazu i składu: Studio Matrix

Druk: FINIDR, sp. z o.o. Czeski Cieszyn

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania tekstów, zmiany tytułów, nie zwraca materiałów niezamówionych. Cena zwykłej prenumeraty rocznej 600 Kč, wspierającej min. 1000 Kč, do uiszczenia przekazem pocztowym, przelewem lub bezpośrednio w redakcji. Wysyłka pocztowa na podstawie umowy nr 701 001/02 z Przedsiębiorstwem Państwowym POČTA ČESKA, oddział Morawy Północne.

Nakład: 1500 egz. • Cena egzemplarza 50 Kč

Numer zamknięto 20 września 2025 • ISSN 0139-6277



NA ZAOLZIU I WILEŃSZCZYŹNIE ROZMOWY O ŻYCIU POLAKÓW

Halina Szczotka ze „Zwrotu” i Rajmund Klonowski z „Kuriera Wileńskiego” w swoich listach piszą o tym, jak wygląda życie Polaków na Zaolziu i na Litwie. Co nas łączy, a co różni? Jakie mamy tradycje, z czym się mierzymy na co dzień?



Posłuchaj
podcastu
„Na Zaolziu
i Wileńszczyźnie”

Droga Halino,

wrzesień to na Wileńszczyźnie czas pamięci – przy czym szczególnie, dotyczącej II wojny światowej.

U nas okupacja zaczęła się 17 września – po zdradzieckim ataku ze strony rosyjskiej, najcenniejszych sprzymierzeńców Hitlera. Większość zmobilizowanych wówczas Polaków (a także walczący w szeregach Wojska Polskiego Litwini) w tym czasie broniła się przed niemiecką inwazją w innych miejscach.

Wilno jest jednym z niewielu miast, które przeżyły aż trzy rosyjskie okupacje w czasie II wojny światowej – od 17 września do 20 października 1939 roku, ponownie od 14 czerwca 1940 roku do 23 czerwca 1941 roku, a potem od 14 lipca 1944 roku do ogłoszenia niepodległości Litwy 11 marca 1990 roku (a ostatnie rosyjskie oddziały opuściły nasze ziemie dopiero 31 sierpnia 1993 roku). Nie jest to rekord, którego życzylibyśmy komukolwiek, gdyż każda z tych rosyjskich okupacji wiązała się z prześladowaniami, wywózkami i zwalczaniem polskich instytucji oraz polskiej tożsamości przez najeźdźców. Za sprawą telewizji i mediów społecznościowych rusyfikacja Litwy trwa do dnia dzisiejszego.

Ale wrzesień to także wydarzenia szczęśliwe – 17 września 2019 roku uruchomiony został kanał TVP Wilno, którego powstanie było owocem wieloletnich starań całej polskiej społeczności dziennikarskiej i nie tylko. Telewizja jako medium w ekosystemie medialnym jest jak czołg w wojsku – jego obecność oznacza, że istnieje całe zaplecze w postaci innych mediów, infrastruktury, kadr, czyli tego wszystkiego, bez czego samo z siebie takie medium by działać nie mogło, tak samo, jak czołg niewiele jest wart bez swojego zaplecza.

Kolejne urodziny TVP Wilno to też duże wydarzenia kulturalne, dające możliwość pokazania swoich talentów naszym własnym twórcom i artystom. W tym roku te urodziny zbiegają się z dożynkami – i odbywały się równocześnie z najbardziej na Wileńszczyźnie okazałymi dożynkami w Solecznikach, oddalonym od Wilna o 45 kilometrów na południe miasteczku w pobliżu granicy z Białorusią. Co ciekawe, liczące obecnie około 7 tysięcy mieszkańców (z tego ponad 70 procent to Polacy) Soleczniki są starsze od Wilna – pierwsza wzmianka o nich pojawia się w dokumentach w roku 1311 (zaś o Wilnie – w 1323).

Bez wątpienia radością jest też dla naszej społeczności początek roku szkolnego – wkroczyło weni 800 uczniów klas I w 48 polskich szkołach, a także 758 dzieci z 59 polskich przedszkoli i grup przedszkolnych. Wszyscy otrzymali od Polski wyprawki – Bonu Kolbego, co radość nauki bez wątpienia potęguje.

Drogi Rajmundzie,

na Zaolziu babie lato. A jak babie lato, to też Cierlickie Lato Filmowe – festiwal, który w kameralnym kinie znajdującym się nieopodal Zapory Cierlickiej prezentuje najnowsze polskie, czeskie i słowackie filmy. Na jakiś czas jego inicjator Tadeusz Wantuła przeniósł festiwal najpierw do Trzyńca, potem do Bystrzycy, nadając mu nową nazwę Babie Lato Filmowe. Miejscowi miłośnicy kina postanowili jednak ponownie organizować festiwal filmowy w Cierlicku i przez jakiś czas odbywały się (bez wzajemnego konkurowania, co jest raczej ewenementem) oba festiwale – i ten w Cierlicku i ten w Bystrzycy. Tadek zmarł ponad rok temu, festiwalu w Bystrzycy już nie ma. Ale ten w Cierlicku ma się bardzo dobrze.

Skoro już o Cierlicku mowa, to nie można nie wspomnieć rocznicy tragedii lotniczej, w której zginęli przedwojenni mistrzowie przestworzy Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura. Ich samolot RW-D 6 rozbił się 11 września 1932.

Miejsce tragedii miejscowi Polacy od początku traktowali z największym pietyzmem. Utworzono tutaj symboliczne mogiły lotników, w 1935 roku wybudowano małe mauzoleum i bramę z napisem *Żwirki i Wigury start do wieczności*. Niestety w 1940 roku, po zajęciu przez Niemców Czechosłowacji, mauzoleum rozebrano. Udało się zachować dla potomnych głąz z nazwiskami lotników i datą katastrofy oraz napis z bramy.

Po II wojnie światowej Polacy dążyli do ponownego godnego upamiętnienia polskich lotników. Ale nietrudno się domyślić, jak wtedy czechosłowackie władze komunistyczne podchodziły do sprawy. Twierdziły, że nie ma potrzeby upamiętniać „lotników Józefa Becka”. Ostatecznie, dzięki olbrzymiemu zaangażowaniu miejscowych Polaków na Żwirkowisku stanął w 1950 roku pomnik z rzeźbą lotnika, która przetrwała wojnę w szopie autora Juliusa Pelikána.

Władze miejscowe wymogły jednak wstawienie napisu *Ofiarom walki z faszyzmem za wolność i demokrację*. Dopiero po interwencji władz polskich w 1957 roku na pomniku pojawił się dwujęzyczny napis, który znajduje się tam do dzisiaj: *Pamięci lotników polskich Żwirki i Wigury, którzy na tym miejscu polegli w katastrofie swego samolotu dnia 11.09.1932*. Co roku na Żwirkowisku odbywają się we wrześniu uroczystości upamiętniające polskich lotników.

Wrzesień to również u nas czas dożynek. Chociaż większość odbywa się w sierpniu, to część można odwiedzić również we wrześniu. Maraton dożynkowy kończy święto plonów w Trzanowicach.

Trochę zazdroszczę Wam tej liczby uczniów w pierwszych klasach i szkół. U nas też przedszkola i pierwszoklasiści otrzymali wyprawki w ramach Bonu Kolbego. Jednak było ich mniej. Do pierwszej klasy w tym roku w 23 polskich szkołach poszło 236 dzieci.

JAKUB MRÓZEK - ARTYSTA Z HUMOREM, DUSZĄ I PĘDZLEM



ROZMAWIAŁA: RENATA STASZOWSKA / ZDJĘCIA: MARIAN SIEDLACZEK, ARCH. JAKUBA MRÓZKA

Jakub Mrózek to człowiek wielu talentów – nauczyciel angielskiego, tłumacz, szef komitetu ds. mniejszości w Jabłonkowie, aktywny działacz PZKO i Gorolskiego Świąta, a jednocześnie artysta z charakterystycznym stylem, w którym łączy komiks, pop-art i gorolskie poczucie humoru. Jego rysunki i ilustracje komentują codzienność, politykę czy kulturę z lekkością i dystansem, a jednocześnie mają w sobie coś bardzo osobistego. Prace Jakuba trafiają do ludzi na całym świecie i zawsze noszą ze sobą uśmiech oraz kawałek jego pasji.

O SZTUCE I STYLU

Jak zaczęła się Twoja przygoda z rysowaniem? Pamiętasz moment, w którym rysowanie stało się czymś więcej niż tylko dziecięcą zabawą?

Moja przygoda zaczęła się właściwie w dzieciństwie – tata Rafał rysował, a ja siedziałem obok niego przy stole, czasem na kolanach, i wpatrywałem się, jak spod jego ręki pojawia się ilustracja. Wtedy nie było komórek, Photoshopa czy AI – był tylko papier, ołówek i wyobraźnia.

Ogromny wpływ miała na mnie też książeczka satyryczna *Żarty o dzieciach i dorosłych*, pełna ilustracji mistrzów takich jak Lutczyn, Butenko, Flisak czy Lengren. Rozśmieszała mnie do łez, ale też uczyła, że w sztuce tego typu chodzi o coś więcej niż kreskę – o obserwację i o to, żeby widz mógł się przejrzeć w rysunku jak w krzywym zwierciadle.

Później doszła fascynacja Andrzejem Mleczką, którego poczucie humoru i celność komentarza uwielbiam do dziś, a także magiczna książka Alana Aldridge’a o Beatlesach – łącząca muzykę i obraz w sposób, który w czasach mojego dzieciństwa wydawał się wręcz zakazany skarbem.

Tata zawsze dbał o to, bym znał wielkich mistrzów malarstwa – od Leonarda da Vinci po Bekszyńskiego – i to też ukształtowało moją wrażliwość. W podstawówce chodziłem na zajęcia do Ludowej Szkoły Artystycznej, gdzie moją przewodniczką po świecie rysunku była pani Irena Ostruszka. Jako dorosły wróciłem do rysowania w Art-Clubie Zuzki Karpeckiej w Jabłonkowie – to właśnie tam odnalazłem nowy zapał, który popchnął mnie znacząco do przodu.

Pierwszego obrazka dokładnie nie pamiętam, ale każda kolejna ilustracja – gdy potrafi rozbawić, skłonić do refleksji i żyć własnym życiem, choćby na łamach *Głosu* – daje mi powód do dumy.

Twój styl łatwo rozpoznać: trochę komiks, trochę pop-art, zawsze z humorem i nutą refleksji. Co sprawia, że chwycasz za ołówek i powstaje nowy rysunek?

Inspiracje podsuwa mi samo życie. Świat wokół nas jest pełen absurdów, sprzeczności i śmiesznych przygód – wystarczy je zauważyć i przelać na papier. Czasem to polityka, innym razem pogoda, sport, codzienne relacje: kobiety kontra mężczyźni, rodzice kontra dzieci... Bywa, że pomysł rodzi się przy rozmowie z przyjaciółmi, przy piwie, albo podczas zwykłej pogawędki z ludźmi, którzy mają proste, szczere spojrzenie na świat.

Chcę, żeby moje rysunki były pełne życia – czasem rozbawiły do łez, innym razem zmusiły do przemyślenia gorzkiej pigułki i zastanowienia się nad naszymi błędami. Inspiracja przychodzi też z muzyki, dowcipów, mediów społecznościowych

czy naszych tradycji i obyczajów. A na pierwszym miejscu jest zawsze mój tata – to jego twórczość była i jest dla mnie największym źródłem natchnienia.

Na Twoich rysunkach znaleźli się już Golec uOrkiestra, Ivan Mládek, Tomáš Kočko, Ondřej Hejma czy dziewczyny z Holki. Jak udało Ci się „złowić” takie gwiazdy?

To wbrew pozorom bardzo proste – ja ich wcale nie „łowię”. To nie są zamówienia ani płatne projekty, tylko moja własna inicjatywa. Kiedy ktoś znany przyjeżdża do Jabłonkowa, rysuję dla niego karykaturę jako osobisty prezent. Chcę, żeby miał pamiątkę z pobytu u nas – coś, co może powiesić sobie w studiu czy w sali prób i uśmiechnąć się na wspomnienie.

Z lekką przesadą mogę powiedzieć, że ja za gwiazdami nie biegam – to one same przyjeżdżają.





Gorolski Święto 2021

dają do mnie. A ja w zamian daję im kawałek Jabłonkowa na papierze.

Masz za sobą setki rysunków. Który z nich najbardziej Cię zaskoczył – czy to reakcją ludzi, czy samym procesem powstawania?

Najbardziej zaskakują mnie te prace, które powstają spontanicznie – bez długiego planowania, czasem wręcz „od ręki”. Nagle okazuje się, że taki szybki szkic niesie w sobie mocny przekaz, potrafi zatrzymać człowieka, zmusić do refleksji albo po prostu wywołać szczerzy uśmiech. To właśnie te momenty są dla mnie największym zaskoczeniem i nagrodą.

Twoje rysunki wykonywane są też na prywatne zamówienia – urodzinowe czy okolicznościowe. Pamiętasz jakieś najbardziej nietypowe zlecenie?

Każde takie zamówienie to osobna historia – bardzo osobista, rodzinna, związana z ważnym wydarzeniem czy wspomnieniem. I to sprawia, że każde jest wyjątkowe. Najbardziej nietypowe przyszło z Wielkiej Brytanii – na początku wydawało mi się wręcz dziwaczne i trochę kuriozalne. Ale kiedy się za nie zabrałem, okazało się świetnym, pomysłowym wyzwaniem. Podszedłem do niego z dystansem i humorem, a efekt końcowy rozbawił nie tylko zamawiających, ale i mnie samego.

Jesteś „nadwornym grafikiem” zespołu Blaf. Jak zaczęła się ta współpraca i co daje Ci najbardziej?

Wszystko zaczęło się w 2018 roku, kiedy Tomasz Tomanek poprosił mnie o stworzenie okładki do swojej książki *Czundry, baby i zabawy*. To było dla mnie bardzo symboliczne – rok po śmierci taty, który wcześniej rysował grafiki dla Blafu. Wtedy naturalnie przejąłem pateczkę.

Prawdziwe wyzwanie przyszło w 2022 roku, kiedy Tomasz zaproponował mi aż trzy projekty naraz: okładkę płyty *Szufłoda* i siedem ilustracji do bookletu, okładkę jego książki podróżniczej *W nogi* oraz cover do krążka *Brzidocy u Kosa*. To był dla mnie moment przełomowy – nagle moje rysunki znalazły się nawet na antypodach, bo *W nogi* trafiło aż na Nową Zelandię!

Współpraca trwa do dziś – zrobiłem okładkę do tomu wierszy *Zrymowane Mimo Blafy* (plus 15 ilustracji do środka), a ostatnio ukazał się nowy album Blafu *Fórt Dokota* również z moją grafiką na okładce.

Najbardziej cenię to, że Tomasz zawsze ma swoją wizję, którą razem dopracowujemy. Bywa, że długo dyskutujemy, zanim ustalimy ostateczny kształt, ale to właśnie daje najlepsze efekty. Ta współpraca to dla mnie ogromny zaszczyt, ale i świetna zabawa. Z lekkim przymrużeniem oka można powiedzieć, że jestem „nadwornym grafikiem” Blafu.

I najpiękniejsze jest to, że sam Tomasz wspominał w książeczce *Obrazki Rafała kreską malowane*: „Jeszcze, że mosz Rafał, takich szikownych synów, a Twój żywot w nich idzie dali. Prawie dzisiaj my ustalili grafike naszej nowej płyty ‘Szufłoda’, a autorem obrozku a obrazeczków ku tekstóm nima żodyn inszy, niż Twój syn Kuba. Moc wielki dziynki tam nawrch.”

To dla mnie coś więcej niż współpraca – to kontynuacja rodzinnej historii.

O DZIAŁALNOŚCI SPOŁECZNEJ I EDUKACJI

Jesteś mocno związany z PZKO i Gorolskim Świętem. Co sprawia, że od lat angażujesz się właśnie tutaj – ludzie, klimat, czy może sama tradycja?

Można powiedzieć, że Gorolskie Święto mam we krwi. Rodzice od dziecka prowadzili mnie w stronę naszych zaolziańskich tradycji, więc festiwal był dla mnie czymś naturalnym – takim świętem jak Boże Narodzenie czy Wielkanoc. To wydarzenie absolutnie wyjątkowe: z klimatem, którego nie da się podrobić, i z ludźmi, którzy tworzą jego niepowtarzalną atmosferę.

Od kilku lat jestem członkiem Komitetu Organizacyjnego GŚ – zajmuję się umowami z zespołami, przygotowuję charakterystyczne napisy i cenniki na budach PZKO, a w tym roku razem z kolegą odpowiadałem za scenografię i wizualizację sceny. Dla mnie to nie tylko praca, ale i ogromna frajda.

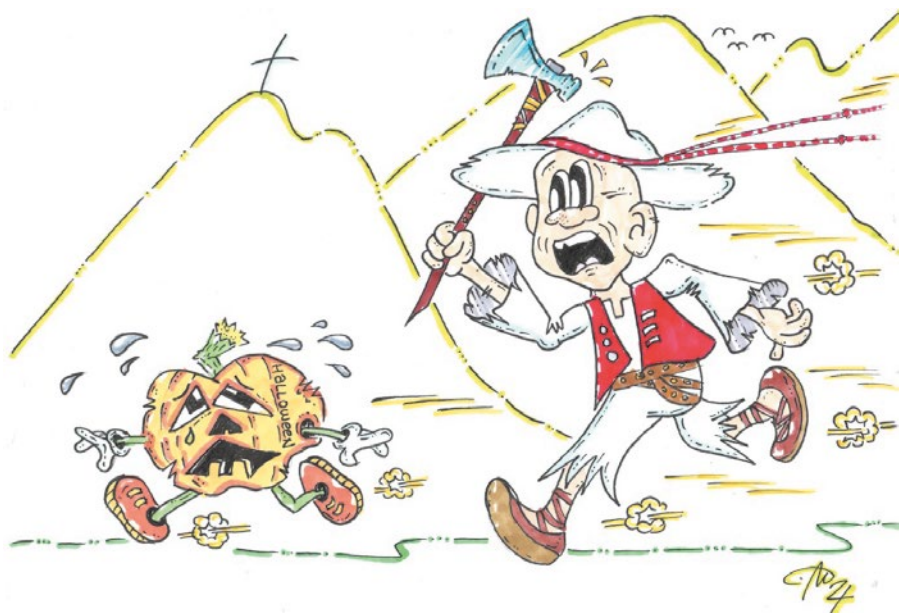
Pamiętam jeszcze czasy, gdy tata zabierał mnie do Lasku, żebym pomagał mu wypisywać dyplomy dla uczestników biegu *O Dzbaneł Mleka*. Wtedy nie było komputerów, wszystko robiło się ręcznie. To są wspomnienia wydarzeń, które mnie ukształtowały – i które sprawiają, że do dziś czuję się częścią tego święta.

Twoje ręcznie malowane podziękowania trafiają w świat – od Europy po Meksyk czy Brazylię. Skąd wzięła się ta tradycja i dlaczego tak mocno się jej trzymasz?

To historia, która zaczęła się od mojego taty Rafała. To on przez lata przygotowywał dla zespołów występujących na Gorolskim Święcie ręcznie pisane podziękowania. Po jego śmierci ta rola w naturalny sposób spadła na mnie – i poczułem, że to coś, czego nie mogę porzucić.



„Ty staro, jo tyn nasz młynek na kawę sprzedóm!
A czym bedymy mleć kawę?
No, jo Ci bedym suł kawę do gymby, aby nie mleła
fórt po próznu” (Gorolsko Gazeta'24)



Gorol vs Halloween



„Maciej, czymu zawiyrosz oczy jak pijesz kwit?
Bo jo ślubił moji babie, że se už na gorzółke nigdy
nie podziwóm” (Gorolsko Gazeta'25)



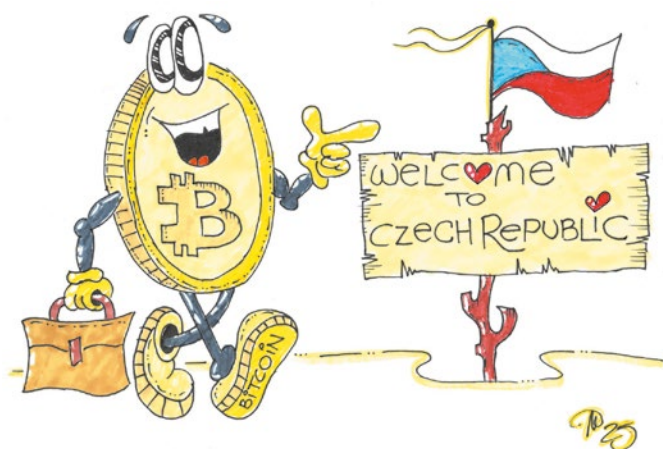
Bieg o Dzbane Mleka – GŚ 2022



Karta Polaka



DONALD Tusk vs. Jarosław KACZYŃSKI
(Wybory Parlamentarne 2023 w Polsce)



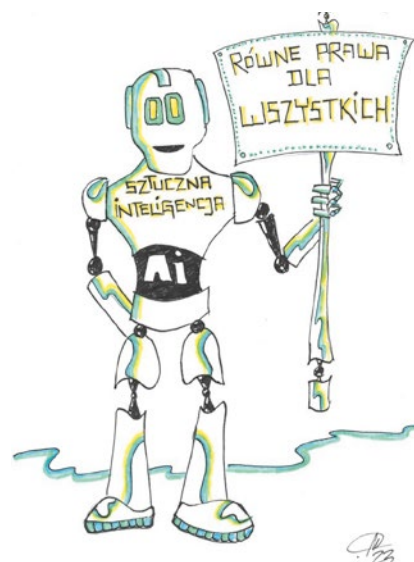
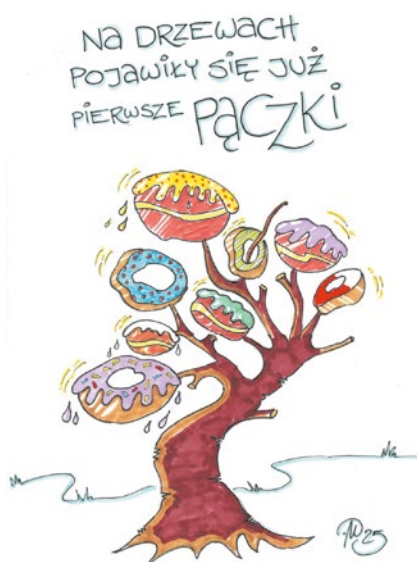
Afera Bitcoinowa w RC'25 — dymisja ministra sprawiedliwości



Święta Bożego Narodzenia



HBO przedstawia: O obrotach sfer niebieskich



AI



Dziś moje ilustracje i rękopisy wędrują do zespołów praktycznie z całego świata – od sąsiednich krajów aż po Brazylię, Meksyk, Gruzję czy Turcję. To piękne uczucie wiedzieć, że kawałek Jabłonkowa leci tak daleko i przypomina ludziom nie tylko o festiwalu, ale też o naszej gościnności i wdzięczności.

Uczysz angielskiego w liceum.

Czy Twoi uczniowie zdają sobie sprawę, że na lekcjach spotykają się z artystą, którego prace krążą po świecie?

Szczerze mówiąc – nie wiem. Na lekcjach się tym nie chwalam, bo w szkole jestem przede wszystkim nauczycielem, a nie „artystą z międzynarodowym zasięgiem” (*śmiech*). Oczywiście zdarza się, że ktoś natrafi na mój profil na Facebooku czy Instagramie i wtedy pojawiają się pytania albo uśmiechy w stylu: „Proszę pana, to naprawdę pan?”. Ale generalnie staram się trzymać te dwa światy osobno – choć czasem fajnie, gdy się mimo wszystko przenikają.

O CODZIENNOŚCI TWÓRCZEJ

Masz swój twórczy rytuał?

Cisza, kawa i cienkopis, czy raczej spontaniczny chaos?

Cisza to dla mnie podstawa – pozwala skupić myśli, przetworzyć emocje i zamienić je w obraz. W takim spokoju łatwiej dostrzec drobne impulsy, które potem stają się inspiracją. Czasem w tle leci klimatyczna muzyka, to taki mój balsam dla wyobraźni. Chaos też się zdarza – w małych dawkach jest cenny, bo zmusza do szybkich, spontanicznych reakcji i czasem rodzi najbardziej nieoczekiwane pomysły.

Jakie narzędzia wybierasz najchętniej – tradycyjne, czy cyfrowe?

Najbliższe sercu są mi klasyczne przybory: ołówek, cienkopis Centropen i mazaki. Dają pełną kontrolę nad kreską i pozwalają wyrazić emocje w najprostszy sposób. Z komputerem i tabletem też eksperymentuję, ale zawsze wracam do tego, co tradycyjne – ma w sobie coś namacalnego, czego cyfrowe narzędzia nie zastąpią.

Masz ulubiony motyw, do którego lubisz wracać?

Motywów jest mnóstwo i każdy daje coś ciekawego. Ale chyba najbardziej fascynują

je mnie łączenie tradycji z nowoczesnością – klasyczne elementy w nowych kontekstach, stare opowieści w świeżym, czasem zabawnym ujęciu. To pozwala mi opowiadać historie w sposób rozpoznawalny, a jednocześnie nieprzewidywalny.

O ODBIORCACH I PRZYSZŁOŚCI

Twoje prace oglądali ludzie w Meksyku, Brazylii, Turcji, Wielkiej Brytanii czy Nowej Zelandii. Jak reagują na nie osoby z innych kultur?

Nie mam co prawda bezpośredniego feedbacku od wszystkich odbiorców, więc muszę zaufać własnej intuicji (*śmiech*). Na szczęście reklamacji nigdy nie było, więc chyba można uznać, że przynajmniej trochę trafiają w gust międzynarodowej publiczności!

Myślałeś kiedyś o własnej wystawie?

A może już udało Ci się ją zorganizować?

Jasne, że myślałem, każdy artysta o tym marzy. Najchętniej zrobiłbym wystawę w rodzinnym Jabłonkowie, miejscu, gdzie powstają moje ilustracje. Niestety, galeria wciąż podchodzi do tego bez większego entuzjazmu – częściej goszczą tam artyści z innych regionów, lub wystawy młodych twórców, co oczywiście jest super i bardzo je wspieram.

Marzę jednak o czymś więcej: własna wystawa, książka z ilustracjami, współpraca z prasą, budowanie własnej marki graficznej, a nawet własny *merch*. Najszybsze marzenie? Stworzenie w sercu Jabłonkowa autorskiej galerii z własnym sklepem internetowym – tak, żeby ludzie mogli nie tylko oglądać, ale też zabierać moje prace ze sobą do domu.

Co jeszcze chciałbyś narysować? Czy jest coś, co wciąż czeka na swoją kolej?

Marzy mi się stworzenie komiksu związanym z Zaolziem – na przykład przerobienie jednej z baśni czy opowieści z *Godek Śląskich* Józefa Ondrusza na formę komiksową. Chciałbym też spróbować czegoś bardziej interaktywnego: mapy Zaolzia z charakterystycznymi miejscami i tradycyjnymi motywami, albo nawet gry planszowej opowiadającej historię i kulturę tego regionu. To projekty, które czekają na swoją kolej, ale z pewnością kiedyś ujrzą światło dzienne.

NA ZAKOŃCZENIE – Z PRZYMRUŻENIEM OKA

Gdybyś mógł narysować portret dowolnej osoby, żyjącej lub historycznej, kto by to był?

To trudny wybór, bo takich osób byłoby znacznie więcej niż jeden portret. Na pewno sięgnąłbym po światowe osobistości, które mnie inspirują, ale równie chętnie sportretowałbym wybitne postacie z Zaolzia – ludzi, którzy wnieśli coś wyjątkowego do naszej kultury i historii. To byłaby świetna okazja, żeby połączyć lokalną tradycję z globalnym spojrzeniem.

Jak wyobrażasz sobie Jakuba Mrózka za 10 lat – dalej z cienkopisem, czy może z tabletem na tropikalnej wyspie?

Idealnie byłoby już teraz (*śmiech*). Widzę siebie w spokojnym miejscu, z dala od miejskiego zgiełku, w otoczeniu najbliższych. Nie tropiki – upały to nie moja bajka – raczej nasze Beskidy, w ogrodzie z wido-kiem na charakterystyczne kopce. Tam mógłbym w spokoju tworzyć ilustracje, które bawią i inspirują ludzi. Oby oczy, ręce i umysł wciąż były sprawne, a pomysły – oryginalne i nieoczekiwane. To moja wymarzona wizja przyszłości – spokój, twórczość i radość z tego, co robię.

Na koniec, co chciałbyś przekazać tym, którzy dopiero zaczynają swoją przygodę z rysunkiem lub sztuką?

Chciałbym powiedzieć jedno: rysujcie przede wszystkim dla siebie i z pasją. Nie przejmujcie się od razu perfekcją – każdy szkic, każdy cienkopis, każda spontaniczna linia ma w sobie wartość. Inspiracje są wszędzie – w codziennym życiu, w ludziach, w tradycji, w muzyce czy nawet w absurdach otaczającego świata. Ważne, żeby obserwować, eksperymentować i pozwolić swojej wyobraźni swobodnie działać. A przede wszystkim – cieszyć się procesem tworzenia i nie bać się dzielić swoimi pracami z innymi. Bo jeśli coś powstaje z sercem i radością, zawsze znajdzie swojego odbiorcę.

To właśnie jest dla mnie sedno sztuki – nie tylko w ilustracjach „po Mrózku”, ale też w codziennym życiu: obserwować, tworzyć, dzielić się i inspirować innych.



CZŁONKOWIE SEKCJI LUDOZNAWCZEJ PZKO ZWIEDZALI WILAMOWICE

TEKST I ZDJĘCIA: BEATA INDI TYRNA

Sobotę 13 września członkowie Sekcji Ludoznawczej Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego w Republice Czeskiej spędzili na wycieczce poznawczej po Wilamowicach. Zwiedzanie tej niezwyklej miejscowości rozpoczęli od obejrzenia ekspozycji Muzeum Kultury Wilamowskiej. Następnie prowadzeni przez dr Tymoteusza Króla (Tiöma fum Dökter) ze Stowarzyszenia *Wilamowianie*, udali się na spacer po Wilamowicach.

– Muzeum działa od półtora roku i oprócz wystawy stałej poświęconej Wilamowianom i okolicy, organizujemy tu też różne wydarzenia – wyjaśnił dr Król, zapraszając gości do udziału w wieczornym spotkaniu muzycznym. – *To miejsce, gdzie spotykają się ludzie w różnym wieku: jedni interesują się muzyką, dla innych to po prostu przestrzeń do rozmowy* – dodał.

Uczestnicy wycieczki mogli również usłyszeć o działalności zespołu regionalnego działającego w Wilamowicach już od 96 lat, o lekcjach muzealnych dla dzieci,

a także o warsztatach szycia strojów wilamowskich prowadzonych w ramach projektów edukacyjnych. – *Nawet osoby, które nigdy wcześniej nie szyły, z zajęć pod okiem instruktorki wychodzą z gotowym strojem wilamowskim* – mówiła jedna z uczestniczek zajęć.

Nie zabrakło też opowieści o śpiewach, które, jak zaznaczał oprowadzający ludoznawców znad Olzy Wilamowianin, nie są zarezerwowane tylko na scenę. – *To samo śpiewa się przy ognisku, przy gorzałce, nie ma podziału* – tłumaczył dr Król.

MUZEALNE WPROWADZENIE DO HISTORII WILAMOWIC

Podczas zwiedzania Muzeum Kultury Wilamowskiej uczestnicy wycieczki usłyszeli od dr. Tymoteusza Króla, że podstawą wilamowskiej tożsamości są strój, język, tradycje i zwyczaje. Bardzo ważne pozostaje poczucie odrębności. Jak stwierdził, dla Wilamowian obcy są Niemcy i Polacy.

W sali poświęconej legendom o pochodzeniu mieszkańców Wilamowic przewodnik opowiadał o licznych wersjach



Wilamowianie dorobili się na handlu tak bardzo, że w 1808 roku wykupili się z poddaństwa. – *Zapłacili właścicielowi Wilamowic, żeby się wyniósł. On próbował wcześniej sprzedać wieś innym okolicznym dziedzicom, ale nikt ich nie chciał, bo zamiast odrabiać pańszczyznę, ciągle handlowali. W końcu zgodzono się sprzedać Wilamowian... im samym. Wtedy we dworze otworzyli karczmę, a dziesięć lat później, w 1818 roku, Wilamowice otrzymały prawa miejskie* – opowiadał Król.

MINIMUM 8 KOMPLETÓW STROJU

Przewodnik podkreślał, że stroje wilamowskie miały ścisłe zasady i były traktowane jak sacrum. Odświętnej spódnicy nie wolno było przenosić do codziennego użytku, można ją było co najwyżej wykorzystać na podszycie w miejscu niewidocznym albo spalić „jak święty obraz”. – *Wilamowianka musiała mieć co najmniej osiem kompletów, w przeciwnym razie musiała „chodzić po polsku”* – wyjaśniał.

Do spódnic dostosowywano resztę stroju, a rodzajów samych spódnic było ponad dwadzieścia pięć. Na pierwszą niedzielę miesiąca zakładano inną, aniżeli na drugą niedzielę itd. Inna spódnica była także przeznaczona na lekką żałobę, inna zaś na ciężką żałobę. Do najbardziej uroczystych należał strój „starościny”, składający się z czerwonej spódnicy uszytej z paryskiego sukna, zielonego fartucha z Wiednia i galonu sprowadzanego z Brugii. Istniały także zestawy przewidziane dla służących oraz wersje przekazywane starszym kobietom.

tej historii, zarówno polskich, jak i niemieckich. Zwrócił uwagę, że próby wpisywania przeszłości Wilamowic w jeden dominujący nurt narodowy to efekt ideologizacji. – *W micie niemieckim mówi się, że tu nic nie było i dopiero przyszli osadnicy, którzy przynieśli cywilizację. W micie polskim, że tu była cywilizacja, ale Tatarzy ją spalili, więc trzeba było odbudować* – przytaczał obie narracje Król. Natomiast jego zdaniem realia były inne. Po prostu Wilamowianie zasiedlili obszar porośnięty puszcza w czasach, kiedy nie funkcjonowały jeszcze takie pojęcia jak Polska czy Niemcy.

Wilamowice, jak wskazał, powstały w drugiej połowie XIII wieku, choć pierwszy zachowany dokument pisany pochodzi z 1325 roku. – *To pozwala przypuszczać, że wieś istniała już co najmniej pół wieku wcześniej. Prawdopodobnie osadnicy przybyli na zaproszenie księcia oświęcimskiego, choć konkretna data nie jest znana* – stwierdził. I wskazał na związki ze Śląskiem Cieszyńskim. Zwrócił uwagę na fakt, że było to jeszcze przed podziałem Księstwa Opolsko-Raciborskiego, z którego później powstało Księstwo Cieszyńskie.

ŚREDNIOWIECZNY UKŁAD PÓŁ

Przewodnik zwrócił uwagę, że jednym z ciekawszych elementów lokalnej historii jest zachowany po dziś dzień średniowieczny układ pól. Wilamowianie do dziś potrafią rekonstruować drzewa genealogiczne na podstawie struktury działek. – *Pierwsi osadnicy dostawali po 100 metrów szerokości na 2,5 kilometra długości, czyli około 48 morgów. Układ tych pól przetrwał w wielu miejscach do dziś* – opowiadał Król.

OD ROLNICTWA DO HANDLU

W 1327 roku Wilamowice znalazły się w granicach Korony Czeskiej, a w 1457 roku przeszły do Królestwa Polskiego. Mieszkańcy na początku zajmowali się przede wszystkim rolnictwem i tkactwem, a w późniejszych wiekach handlem. – *Wilamowskie przysłowie mówi: „Łiwer à deko fum handuł owi à kilo fur at”, czyli lepsze deko handlu niż kilo roboty. I to rzeczywiście charakteryzuje nasze podejście do życia* – przyznał Wilamowianin.

W jego ocenie na rozwój handlu wpłynęło to, że w XVI wieku mieszkańcy Wilamowic masowo przeszli na wyznanie ewangelicko-reformowane. – *Był tu przez około sto lat tylko kalwinizm. To miało znaczenie, bo w tej etyce większą wagę przywiązywano do rozwijania swoich talentów i przedsiębiorczości, a nie do podporządkowania się obojętności pracy w polu* – tłumaczył przewodnik.





tom, które nie musiały już przestrzegać zasady ośmiu kompletów. Istniał też np. strój „na deszcz”. Natomiast stroju dziecięcego nigdy nie było.

Odrębne znaczenie miały czepce i chustki. Chustka bez czepca oznaczała pannę, a welon nigdy nie był dla panny młodej, nosiła go chrzestna albo kobieta idąca w procesji Bożego Ciała. Liczba czepców zależała od okazji. By wstać z łóżka wystarczył jeden, by wyjść z domu należało założyć trzy, a na największe uroczystości nawet dziesięć naraz. Kolory również odpowiadały okolicznościom. Purpurowe zakładano na największe święta, czerwone i pomarańczowe na niedzielę, żółte na „post adwent”, a białe w żałobie.

Niezbędnym elementem stroju były także korale i krzyże. Na co dzień kobieta zakładała trzy rzędy, w niedzielę pięć z krzyżem, a na święta jeszcze więcej. Dawniej noszono korale bursztynowe, ale pod koniec XIX wieku, gdy piorun uderzył w jedną z Wilamowianek, bursztyn odrzucano. Charakterystyczne krzyże wilamowskie, kupowane w Wiedniu, według jednej z wersji uważa się za starsze od samych strojów.

BILETOWANE WESELA

Przewodnik opowiadał o zwyczaju biletowania wesel, który w Wilamowicach funkcjonował powszechnie jeszcze do lat 60. XX wieku. Schemat był stały: gospodarz „prosił” na wesele około 30–40 osób, najbliższych. Bywało, że każdy płacił za swoich gości. Następnie orszak szedł z domu pana młodego po pannę młodą, później do kościoła, a po ślubie wszyscy udawali się do karczmy na tańce.

Do karczmy mogły wejść osoby spoza grona zaproszonych po wykupieniu biletu. Miały jednak ograniczone prawa: nie wolno im było tańczyć, stały po dwóch stronach sali i pełniły rolę widzów. Tymczasem zaproszeni goście byli zapraszani na obiady do domów: goście pana młodego do domu pana młodego, goście panny młodej do domu panny młodej. W tym czasie zabawa w karczmie toczyła się dalej, a po powrocie następowała część taneczna zwana „przody”. W jej trakcie pierwszy z brzegu spośród tych, którzy kupili bilety, musiał przynieść wódkę pierwszej parze i tak kolejno. Kupujący bilety byli więc „widzami” wesela, włączanymi do obsługi pierwszych par.

Wilamowianin podkreślał, że system biletów pokrywał koszty uroczystości. Para młoda za nic nie musiała płacić, ani za salę, ani orkiestrę, ani za wódkę, bo wszystko było z biletów. – *To było jak handel* – podsumował.

ZWIEDZANIE MIASTA

Po obejrzeniu ekspozycji w Muzeum ludoznawcy znad Olzy udali się na zwiedzanie miasteczka. Oprowadzał ich oczywiście Tymoteusz Król. Zaczęto od Rynku. Przewodnik wyjaśnił, że na początku XIX wieku zabudowa rynku była parterowa, z łamanymi dachami. Wśród najstarszych wymieniał domy z 1832 i 1841 roku.

Z Wilamowic wywodził się Józef Nikiel. Był synem jednego z handlarzy. Jak opowiadał przewodnik już jako 19-latek dostał zlecenie na zaprojektowanie rynku. Pierwszym akcentem był ratusz (zielonkawy budynek z 1869 r.). Miał on niegdyś wieżyczkę, usuniętą po 1945 roku, później dobudowano piętro, które nie odpowiada pierwotnemu projektowi.

Architekt realizował też pomysły mniej oczywiste, jak neoromańska stodoła z „okiem opatrności” (zbudował dwie – dla siebie i dla syna). W 1888 r. powstała nowa karczma. Poprzednią, mieszczącą się w dworze, rozebrano po krążących opowieściach, że w niej straszy. Na piętrze odbywały się wesela i po wojnie działało kino aż do lat 70.

Z końca XIX wieku pochodzi budynek poczty. Przewodnik podkreślał jej ówczesną rangę. Była czynna od 7.00 do 21.00, a przy tym skomunikowana z Wiedniem.

Szczególną instytucją była ochronka św. Anny z 1908 r. ufundowana przez urodzonego w Wilamowicach Józefa Bilczewskiego (ur. jako Józef Biba), późniejszego arcybiskupa. Jej celem była nauka języka polskiego. Dzieci bowiem, jak wyjaśnił



Król, idąc do szkoły, polskiego nie znały. Po wojnie ochronka działała jako przedszkole państwowe, w 1990 r. wróciła do zgromadzenia. Po wybudowaniu nowego klasztoru i przedszkola w 2010 r. dawny budynek pełni funkcję dziennego domu opieki. Wątek ten łączy się z postacią arcybiskupa: dawną ochronkę dedykowano św. Annie (to imię nosiła matka arcybiskupa), nowszą nazwano jego imieniem. Na rynku stoi jego pomnik.

Przestrzeń rynku od niedawna zdoła też fontanna z księżycem, nawiązująca do wilamowskiej legendy o księżycu, który wpadł do studni. Przewodnik opowiadał też o kamierze z której obraz transmitowany jest w internecie. I o tym, że od czasu, kiedy jedna z matek podglądała randkę syna, na ławeczkach randkują już głównie turyści.

KONTROWERSJE WOKÓŁ KOŚCIOŁA

Nawet kościół okazał się w Wilamowicach, których mieszkańcy nigdy nie czuli się ani Polakami, ani Niemcami, pretekstem do polsko-niemieckich sporów. Przewodnik opowiadał, że historia kościoła to pasmo sporów estetycznych i politycznych. Drewniany poprzednik uznano za „nieprzystojny jak na miasto”, rozpoczęto budowę nowej świątyni, ale biskup krakowski nakazał wstrzymanie prac, twierdząc, że „wygląda jak niemiecki zbór luterński”. Z kolei niemieccy badacze pisali o „kiczowatej neogotyckiej świątyni, świadectwie polonizacji”, zestawiając ją z „pragermańskim, drewnianym kościółkiem”.



Budowa trwała 61 lat. Wieża ma 72 m (wspominano, że to o 11 m więcej niż katedra w Bielsku). W 1936 r. prace przerwano i przez 25 lat kościół stał bez dachu. W 1957 r. spłonął stary kościół, a msze odprawiano „pod chórem”. Decyzja z lat 20., by wznosić nowy kościół z żelbetu, uratowała niedokończoną budowlę. Wilamowicka diaspora z Wiednia, Berlina, Londynu ufundowała witraże, a nawet cement na wieżę. Planowany transept po wojnie uznano za „zbyt niemiecki” i zastąpiono wieżyczkami.

CMENTARZ

Etnograficzna wycieczka poznawcza nie może odbyć się bez zwiedzenia miejscowej nekropolii. Na założonym 1848 r. cmentarzu przewodnik zwracał uwagę na dwie rzeczy. Wyjaśnił, że płotki przy niektórych grobach wynikały ze względów praktycz-

nych. Cmentarz nie był ogrodzony, chodziły po nim kury i gęsi, więc bogatsi grodzili mogiły, by na nie nie wchodziły zwierzęta.

Król objaśnił także status cmentarza. Otóż z powodów formalnych w postaci błędu w księgach stał się komunalny po sporze burmistrza z proboszczem. Dzięki temu spoczęli tu także baptyści. Widać też „mody” nagrobne: białe marmury końca XIX wieku i obeliski popularne w całej monarchii.

Na jednej z płyt upamiętniono matkę kupca, który w Krakowie prowadził handel winami i był chrzestnym Karola Wojtyły.

Przewodnik opowiadał też o powojennych korektach i sporach o pisownię nazwiska Fox/Foks. Zachowało się też kilka niemieckich inskrypcji, m.in. wiersz na grobie dziecka.

VOLKSLISTA W WILAMOWICACH – JAK TO WYGLĄDAŁO W PRAKTYCE

Po wkroczeniu Niemców w 1939 r. przeprowadzono spis z odciskami palców znany również z historii naszych terenów. Na jego podstawie mieszkańców wpisywano do jednej z czterech kategorii. W Wilamowicach „jedynki” (aktywni politycznie Niemcy) nie było, a „czwórki” (Polacy/catkowicie spolonizowani) nie przyznawano w ogóle, uznano bowiem wszystkich za ludność pochodzenia „germańskiego”.

Najliczniejsze były „dwójka” i „trójka”. Około 20% wilamowian trafiło do „dwójki” („Niemcy czystej krwi”, nieaktywni politycznie) z obywatelstwem niemieckim. Około 70% otrzymało „trójkę” („do odwołania”): bez obywatelstwa, z ograniczonymi prawami majątkowymi (własność za-



mieniano na użytkowanie, nie wolno było kupować ani sprzedawać). Różnice statusu przekładały się też na płace (np. przy „dwójce” 150 marek w fabryce, przy „trójce” 50 marek).

Przydziały bywały uznaniowe: gospodarzom częściej dawano „dwójkę”, a handlarzom „trójkę”, z założeniem, że kupiec może „uciec”. Bywało, że dwaj bracia dostawali różne kategorie. Pojawiła się propozycja wysiedlenia okolicznych Polaków i stworzenia „wielkich Wilamowic”. Wilamowianie odmówili i nikt nie zgłosił się do przejmowania gospodarstw. Mimo to część Polaków wysiedlono, a sprowadzano Niemców z różnych miejsc.

Okolo 40 osób odmówiło podpisania volkslisty. Pierwszych dziesięć trafiło do Mauthausen i zginęło. Po 1945 r. władze centralne ogłosiły, że Wilamowice to „wyspa flamandzka, nie niemiecka”, wprowadzając zakaz używania języka i stroju wilamowskiego. Wysiedlenia w dużej mierze miały charakter „dziki” i były motywowane majątkowo: około 30% mieszkańców wysiedlono, pozostali latami mieszkali u sąsiadów, choć w 1945/46 uzyskali polskie obywatelstwo i rehabilitację. W 1956 r. nakazano zwrócić domy.

TRUDNE POWOJENNE CZASY

W czasie okupacji polskie rodziny z okolicy prosiły Wilamowian o „zapisanie do pracy” chłopców na gospodarstwach, by uchronić ich przed wywózką. Po wojnie bywało to używane przeciwko Wilamowianom w oskarżeniach o „darmową pracę” i wnioski o konfiskaty. Po wojnie doszło też do dzikich wysiedleń inspirowanych majątkowo.

W 1945 r. władze wprowadziły zakaz używania języka i stroju wilamowskiego. Około 30% wysiedlono, pozostali mieszkali u sąsiadów. W 1956 r. dekret nakazał zwrócić domy. Przewodnik akcentował determinację mieszkańców, którzy mimo prześladowań nie wyjechali. Ilustrował to dramatycznymi losami rodzin, m.in. Foxów (śmierć w obozach, Wehrmacht, Syberia) i powojennymi nadużyciami w rozliczeniach.

SZKOŁA

Ciekawa była także opowieść o szkole z 1911 roku. Król opowiadał, jak to pieniądze na jej budowę Wilamowianie pozyskali



z dwóch stron: niemieckiego Schulferein z Bielska i polskiego środowiska (m.in. przez arcybiskupa ze Lwowa). Wilamowianie wzięli pieniądze od jednych i drugich i wzniesiono szkołę dwujęzyczną, co wywołało ostry konflikt: arcybiskup przysłał list, w którym „się ich wyrzekał”.

Po upadku Austro-Węgier funkcjonowały dwie szkoły: polska i niemiecka. Przy czym niemiecka działała tylko 2–3 lata. Ostatecznie została szkoła polska z niemieckim jako językiem obcym.

Przed I wojną pierwsza klasa trwała dwa lata. Pierwszy rok bowiem poświęcano na naukę języka polskiego i niemieckiego, bo dzieci idące do szkoły mówiły tylko po wilamowsku.

ZWIĄZKI Z... JABŁONKOWEM

Na wstępie, witając gości w progach Muzeum, Tymoteusz Król wspominał zeszłoroczną wizytę członków Stowarzyszenia „Wilamowianie” na Gorolskim Świącie w Jabłonkowie. I podzielił się ciekawostką. Mianowicie Augustyn Figwer, brat pradziadka jednej z członkiń stowarzyszenia – był proboszczem w Jabłonkowie.

NA WILAMOWSKICH SPOTKANIACH MUZYCZNYCH

Dodatkową atrakcją dla ludoznawców znad Olzy była możliwość uczestniczenia a comiesięcznych „Wilamowskich Spotkaniach Muzycznych” organizowanych w siedzibie Muzeum.

JĘZYK WILAMOWSKI

Ciekawostką Wilamowic jest język wilamowski. Jak podkreślał dr Tymoteusz Król (Tiöma fum Dökter) status języka wilamowskiego zmienił się w ostatnim czasie. Dawniej gmina unikała jego eksponowania, dziś pojawiają się tablice po wilamowsku i po polsku, a w ostatnich wyborach samorządowych pięciu z sześciu kandydatów na burmistrza wpisało wspieranie rewitalizacji języka do swoich programów.

Podczas zwiedzania cmentarza przy grobach rodziny Biesików przewodnik sporo mówił o języku wilamowskim, a także... w języku wilamowskim. Recytowanego przez niego utworu napisanego po wilamowsku bez tłumaczenia nie sposób byłoby zrozumieć.

Tiöma Fum Dökter czyli po polsku Tymoteusz Król wyjaśnił, że Florian Biesik, urzędnik kolejowy z Triestu pisał po wilamowsku poematy. M.in. o *tym, że Bóg stwarzał świat w języku wilamowskim*, kreśląc fantastyczne dzieje Wilamowian. Herman Biesik opracował słownik „niemieckiej gwary wilamowskiej”, co w poemacie brata było powodem literackiej uszczypliwości w wersach: *na ostatnim kręgu piekła słyszę jego krzyk...* Zacytował też wersy o wartości języka. Podkreślał, że starsi mieszkańcy zawsze mówili o trzech językach: wilamowski, polski, niemiecki, a pojęcie *gwara* nie funkcjonowało.

Ku wielkiej radości zaangażowanych w zachowanie rodzinnych tradycji Wilamowian dzień wcześniej, 12 września, Sejm Rzeczypospolitej Polskiej przyjął ustawę o uznaniu języka wilamowskiego za język regionalny.



NASZE
KLUBY

KLUB PRZYJACIÓŁ SPORTU PRZY MK PZKO OLBRACHCICE

TEKST: BEATA INDITYRNA / ZDJĘCIA: BEATA INDITYRNA, ARCH. KLUBU

Przy Miejscowym Kole PZKO w Olbrachcicach istnieje Klub Przyjaciół Sportu. O idei i działalności Klubu rozmawiamy z jego prezesem Markiem Kłozą.

Od kiedy przy Waszym Kole działa Klub Przyjaciół Sportu?

Klub jako taki istnieje trzy lata. To młodziutki klub. Przedtem spotykaliśmy się nieformalnie, nie pod auspicjami PZKO. Dopiero trzy lata temu ustaliliśmy, że zrobimy to jako Klub Przyjaciół Sportu. Tak więc nasz klub tenisa stołowego jako taki rozpoczął swoją działalność nieoficjalnie od października roku 2016, kiedy zakupiliśmy z własnych środków pierwszy stół do tenisa stołowego. Drugi stół mamy od grudnia 2018. Jak mówiłem, pod skrzydłami MK PZKO jesteśmy oficjalnie jako Klub Przyjaciół Sportu (KPS) od roku 2022.





Czyli działalność Klubu jest sformalizowana od trzech lat. Co się w związku z tym zmieniło?

Prowadzimy sprawozdania z działalności, z naszych składek pomagamy finansowo naszemu MK PZKO: chodzi o częściową zapłatę za media, zakup prowiantu na akcje, zakup drobnego wyposażenia do lokali Domu PZKO, prace remontowe itd. Właściwie teraz zaczynamy już czwarty rok formalnej działalności jako Klub.

Skąd pomysł na nazwę i taką działalność przy miejscowym Kole PZKO?

Pierwszy stół do tenisa stołowego kupiliśmy z własnych środków, zrobiliśmy zrzutkę między sobą. Zaczęliśmy grać, a kiedy wieść się rozniósła, ludzi przyby-



wało. Potem kupiliśmy drugi stół. Pomysł, żeby sformalizować działalność przy Kole jako klubu wyszedł od prezesa Kota.

Czym się zajmujecie w ramach klubu?

Mamy w nazwie, że jesteśmy przyjaciółmi sportu, ale głównie chodzi o tenis. Latem tenis ziemny, zimą tenis stołowy. Zaczęło się, jak wspominałem, od tenisa stołowego. Ale w lecie, kiedy pogoda jest dobra, korzystamy z tego, że mamy w gminie dwa korty tenisowe z odpowiednią nawierzchnią ceglana. W niedzielę do południa,



w piątek i we wtorek po południu mamy możliwość gry. Nazywamy to tenis duży i tenis mały.

Czyli tenis – latem na kortach, zimą ping-pong.

Tak, ale praktycznie gramy cały rok w tenisa stołowego. Latem przychodzi mniej ludzi, czterech do sześciu. Od jesieni, od października, kiedy pogoda się pogarsza, chodzi nawet około dwudziestu osób. Nawet trzydziestu.

Ilu członków liczy wasz klub?

Nie mamy członkostwa takiego z legitymacjami, działamy na zasadzie dobrowolności. Około dwudziestu osób uczestniczy regularnie w spotkaniach.



Czy spotkania mają stały dzień?

W przypadku dużego tenisa to wtorki, piątki i niedziele, ale zależy, jak się ktoś paki umówią. We wtorki jest oficjalne spotkanie popołudniowe.

W tenisa stołowego gramy co tydzień we wtorki od godziny 16:00. Czasami można pograć w inne dni, ale trzeba się wtedy umówić i ktoś musi przyjść z kluczami. Zazwyczaj gramy debble, czterech przeciwko czterem.

Zajmujecie się też innymi aktywnościami?

Tak. Od jednego kolegi kupiliśmy stół bilardowy, mamy także strzałki. Nie są one tak często wykorzystywane jak tenis stołowy, ale możliwość jest. Można pograć w bilard i rzutki.

Czy organizujecie program sportowy także na imprezach całego koła?

Ogólnych imprez dla całego koła nie robiliśmy. Organizujemy turnieje w ramach naszej grupy. Koło to szeroka społeczność, a my robimy zawody między sobą.

Współpracujecie z innymi klubami sportowymi?

Raczej nie. Nie bronimy się przed tym, ale działamy przy PZKO i jakoś to nam wystarcza. Jeśli ktoś chce przyjść i zagrać w tenisa, to nie ma problemu. Natomiast wyjazdów sportowych nie organizujemy.

Jakie znaczenie ma sformalizowanie działalności przy kole PZKO?

Dzięki klubowi spotykamy się prawie co tydzień, a nawet trzy razy w tygodniu.

Mamy miejsce w Domu PZKO. Dzięki temu działalność się zintensyfikowała, a członkowie klubu angażują się też w działalność PZKO. Każdy daje składkę, z której opłacamy energię i drobne remonty. To ma znaczenie dla Koła, dla naszego Domu PZKO.

Czy oprócz sportu robicie coś jeszcze wspólnie?

Tak. Kiedy są mecze eliminacyjne, w których gra Polska w piłce nożnej czy siatkówce, to spotykamy się w salce Domu PZKO i oglądamy razem. Kibicujemy też miejscowemu klubowi piłkarskiemu, który awansował do piątej ligi. To już wyższy poziom i jesteśmy z niego dumni.

Czyli można powiedzieć, że jesteście także mini klubem kibica.

A co do Pana. Czy prezesem klubu jest Pan od początku?

Tak, od samego początku.

Wcześniej był Pan w PZKO?

W PZKO jestem od młodych lat. Od dawna działam w zarządzie, a trzecią kadencję pełnię funkcję gospodarza domu. PZKO to mój drugi dom. A czasami nawet pierwszy.

A co dla Pana osobiście oznacza działalność w klubie?

Kiedyś ludzie spotykali się nieaktywnie, a dziś nawet starsi chcą być aktywni. Nie chcą tylko siedzieć, ale się ruszać. I to jest dobrze.



Z ARCHIWUM Z. PAMIĄTKI RODZINNE CZYTELNIKÓW „ZWROTU” NA WYSTAWIE W MUZEUM MAZOWIECKIM W PŁOCKU

TEKST: SYLWIA GRUDZIEŃ, ZDJĘCIA: GRZEGORZ PIASKOWSKI, TOMASZ TOPCZEWSKI

W piątek 12 września w Muzeum Mazowieckim w Płocku odbył się wernisaż wystawy „Z Archiwum Z. Pamiątki rodzinne Polaków z Zaolzia”. Ekspozycja jest efektem współpracy dwóch instytucji – Muzeum Mazowieckiego w Płocku oraz Muzeum Historycznego w Bielsku-Białej – a także miesięcznika „Zwrot”. Największy wkład w jej powstanie mieli jednak nasi Czytelnicy, którzy zaufali organizatorom i wypożyczyli na wystawę swoje rodzinne skarby.

Podstawą ekspozycji stały się pamiątki rodzinne, reportaże historyczne i rozmowy publikowane na łamach „Zwrotu” w latach 2019–2025. Spośród setek opublikowanych zabytków kuratorzy wystawy – Sylwia Grudzień i Grzegorz Piaskowski – wybrali 350 pamiątek należących do 23 domowych archiwistów z Czeskiego Cieszyzna, Cierlicka, Hawierzowa, Żywocic, Lutyni, Karwiny, Ropicy, Trzyńca, Oldrzychowic, Nawsia, Mostów koło Jabłonkowa i Cieszyzna. Swoje zbiory udostępnili: Alicja Branna, Janina Procner, Halina i Piotr Twardzikowie, Dariusz Toman, Piotr Paszek, Helena Curzydło, Tadeusz Nowak, Anna Macura, Marta Mikulowa, Danuta i Bogusław Chwałowie, Jana Żyłowa, Roman Strzondała, Paweł Wania, Monika Machač, Leszek Cimała, Ewa Kiedroń, Renata Staszowska, Tadeusz Filipczyk, Krystyna Mucha, Jadwiga Halicka oraz Zbigniew Pawlik.

Najliczniejszą grupę eksponatów stanowią pamiątki z czasów drugiej wojny światowej – dokumenty, fotografie, listy, medale, elementy umundurowania i wyposażenia. Obok nich zobaczyć można także przedmioty związane z pierwszą wojną światową, działalnością polskich organizacji na Zaolziu, a także bogaty zbiór obiektów codziennego użytku: instrumenty muzyczne, narzędzia medyczne, stroje ludowe,



biżuteria, ubrania, dzieła sztuki, a nawet pamiątki przywiezione z odległej Azji. Każdy z tych przedmiotów niesie w sobie historię, która dopowiada większą narrację o losach regionu.

Integralną część wystawy tworzy cykl fotografii Grzegorza Piaskowskiego. Portrety domowych archiwistów, wykonane najczęściej w ich domach, zestawiono z rodzinnymi pamiątkami, co nadaje zdjęciom

intymny, autentyczny wymiar. Całość uzupełniają pejzaże i fotografie miejsc ważnych dla Zaolzia, które budują szerszy kontekst opowieści.

Ekspozycji towarzyszy katalog o tym samym tytule autorstwa Sylwii Grudzień, zawierający reportaż historyczny oparty na materiałach publikowanych w „Zwrocie” w latach 2019–2025 oraz dokumentację fotograficzną trzystu eksponatów.





Na szczególną uwagę zasługuje tytuł wystawy: „Z Archiwum Z”. Choć brzmi poważnie, zawiera żartobliwe nawiązanie do kultury popularnej. Jest to świadome odniesienie do kultowego serialu lat dziewięćdziesiątych *Z Archiwum X*, który koncentrował się na zjawiskach tajemniczych i nieznanach ogółowi. Podobnie jak w serialu główni bohaterowie odkrywają ukryte prawdy i tajemnice, wystawa ma na celu wydobyć z zapomnienia osobistych historii, wspomnień i rodzinnych pamiątek Polaków z Zaolzia, którzy od ponad stu lat żyją w specyficznym kontekście kulturowym i politycznym. Litera „Z” w tym kontekście oznacza Zaolzie – małą ojczyznę polskiej społeczności w Czechach, przestrzeń wymykającą się prostym klasyfikacjom, a jednocześnie



nasyconą głęboką symboliką. Tytuł wystawy „Z Archiwum Z” to więc puszczenie oka w stronę odbiorcy – ale w służbie bardzo realnej, głębokiej i wielogłosowej opowieści.

Właśnie dzięki tym głosom i domowym archiwom możemy spojrzeć na historię Zaolzia (i całego Śląska Cieszyńskiego) nie tylko przez pryzmat wielkich wydarzeń, lecz przede wszystkim przez pryzmat codzienności i pamięci przechowywanej w rodzinnych domach. Te kruche przedmioty są świadectwem wytrwałości zaolziańskich Polaków, którzy – mimo zmieniających się granic i systemów politycznych – potrafili zachować swoją tożsamość i przekazać ją następnym pokoleniom.

Otwarcu wystawy towarzyszył bogaty program wydarzeń. W sobotę 13 września odbył się finał wystawy *Sztuka i tożsamość. Prace artystów zaolziańskich ze zbiorów Muzeum Historycznego w Bielsku-Białym*.



tej. Tego samego dnia płocczanie wysłuchali wykładu niezastąpionego profesora Daniela Kadłubca *O ziemi, z której promieniuje światło. Lux ex Silesia*. Następnie Grzegorz Piaskowski przeprowadził rozmowę z domowymi archiwistami – Leszkiem Cimałą i Dariuszem Tomanem – na temat tożsamości i realiów życia na Zaolziu.

W niedzielę 14 września odbyło się oprowadzanie kuratorskie, a całość wydarzeń zwieńczył koncert góralskiej kapeli Lipka.

Wystawa w Płocku potrwa do 11 stycznia 2026 roku, po czym zostanie przeniesiona do Muzeum Historycznego w Bielsku-Białym, gdzie będzie prezentowana do końca maja 2026 roku, o czym jeszcze poinformujemy na łamach „Zwrotu” i portalu informacyjnego Zwrot.cz.

Nie sposób wymienić wszystkich osób, dzięki którym ta ekspozycja mogła powstać. Największe podziękowania należą się domowym archiwistom – ludziom, którzy otworzyli przed nami nie tylko drzwi swoich domów, ale i serc. To oni udostępniili pamiątki przechowywane przez pokolenia, obdarzając organizatorów ogromnym zaufaniem. Poczucie misji i głębokie zrozumienie tematu przeważały nad naturalną troską o rodzinne skarby.

Mamy nadzieję, że wystawa i katalog staną się okazją do głębszego poznania losów Polaków z Zaolzia – społeczności, która mimo różnych przeciwności, potrafiła zachować własną tożsamość i przekazać ją kolejnym pokoleniom.





Lubeka

LUBEKA BRACI MANNÓW ORAZ WILLE NAD JEZIOREM WANNSEE I W PO CZDAMIE

TEKST I ZDJĘCIA: RENATA PUTZLACHER

Gdy do Ameryki dotarła wiadomość o bezwarunkowej kapitulacji III Rzeszy, Tomasz Mann, niemiecki laureat literackiej Nagrody Nobla, emigrant i przeciwnik hitleryzmu, zanotował 8 maja w swym dzienniku: *Wieczorem francuski szampan dla uczczenia dnia zwycięstwa w Europie*. Niemcy świętują w tym roku 150-lecie urodzin noblisty, więc wybraliśmy się podczas wakacyjnych wojaży do jego rodzinnej Lubeki. W związku z tegoroczną 80. rocznicą końca drugiej wojny światowej zwiedziliśmy również miejsca, w których miały miejsce ważne konferencje.

Bracia Mannowie urodzili się w hanzeatyckiej Lubece – Henryk w 1871 roku, a Tomasz w 1875 roku.

Ich ojciec, bogaty hurtownik zbożowy i senator miasta Lubeki, wyraźnie sprzeciwiał się literackim ambicjom synów, którzy nie chcieli podtrzymywać kupieckiej tradycji rodzinnej. Henryk opublikował w 1905 roku powieść *Profesor Unrat*; na jej podstawie Josef von Sternberg nakręcił w 1930 roku film *Błękitny anioł*, który przyniósł Marlenie Dietrich międzynarodowy rozgłos.

Henryk Mann jest autorem wielu powieści, ale to jego młodszy brat, laureat

literackiej Nagrody Nobla (1929), uznawany jest za najwybitniejszego pisarza niemieckiego pierwszej połowy XX wieku i jednego z najważniejszych w dziejach literatury niemieckojęzycznej.

Tomasz Mann zaczął pisać powieść *Buddenbrookowie* w 1897 roku, mając 22 lata. Opublikowana w 1901 roku książka zdobyła uznanie krytyków i czytelników jako dzieło na wskroś niemieckie i wysoce autobiograficzne.

Miejszem akcji jest miasto narodzin pisarza, który nie nazwał miasta wprost, ale użył tak wielu szczegółów (np. nazwy ulic), że niektórzy krytycy i czytelnicy identyfi-

kowali je z Lubeką. Dla powieściowej rodziny Buddenbrooków, kupców zbożowych, ważne jest poczucie obowiązku względem przodków, z których każdy przyczynił się do jej obecnego powodzenia.

Nie dlatego przychodzimy na świat, by dbać jedynie o to, co podług własnego, krótkowzrocznego sądu nazywamy szczęściem osobistym; nie jesteśmy oddzielnymi, niezależnymi, wyłącznie dla siebie żyjącymi istotami, lecz stanowimy niby ogniwa jednego łańcucha; nie istnielibyśmy, gdyby nie długi szereg tych, którzy nas poprzedzili i utworzali nam drogę, postępując zgodnie z wypróbowaną i czcigodną tradycją.



Dom Buddenbrooków



Młodemu Mannowi dzieje jego własnej rodziny dostarczyły cennego tworzywa do tego dzieła, opowiadającego o losach czterech pokoleń bogatej rodziny kupieckiej na przestrzeni lat 1835–1877. Dziś czytelnicy i turyści odwiedzają tak zwany Dom Buddenbrooków, białą kamienicę przy ul. Mengstraße 4 zwieńczoną rokokowym szczytem. Przez wiele lat mieszkali tu dziadkowie Tomasza Manna (jego babka Elisabeth Mann do końca 1890 roku). W 1894 roku nieruchomość nabyło miasto, w latach 1922–1929 w budynku mieściła się księgarnia Buddenbrooków.

Henryk, starszy brat noblisty, po dojściu nazistów do władzy został wykluczony z Niemieckiej Akademii Sztuk, której był prezesem, a po pewnym czasie odebrano mu niemieckie obywatelstwo. W 1933 roku wyemigrował, przez Czechosłowację, początkowo do Francji, a następnie do Stanów Zjednoczonych. Tomasz Mann, niepokojąc się rozwojem sytuacji politycznej, wygłosił w 1930 roku w Berlinie płomienny apel przeciwko nazistom i na rzecz socjaldemokracji. W chwili przejęcia przez Hitlera władzy w Niemczech znajdował się za granicą i tam też postanowił pozostać. Naziści pozbawili go sławy i reputacji, a później także części majątku. Noblista na początku 1936 roku zrzekł się obywatelstwa niemieckiego,

a w rok później przyjął z rodziną obywatelstwo Czechosłowacji. Niedługo potem przenieśli się do znacznie bezpieczniejszych (żona Manna była pochodzenia żydowskiego) Stanów Zjednoczonych, gdzie już mieszkał brat Henryk oraz inni niemieccy pisarze walczący z hitleryzmem. Zanim uzyskał obywatelstwo amerykańskie, był emigrantem pozbawionym obywatelstwa niemieckiego, z paszportem nieistniejącej Czechosłowacji. W liście do Alberta Einsteina pisał:

Zerwanie z krajem, prawie nieuniknione, przynębia i trwoży mnie bardzo, co jest dowodem, że stan ten nie odpowiada zupełnie mojej naturze, bynajmniej nie stworzonej do martyrologii. Tylko wyjątkowe zło i fałsz mogły mi narzucić tę rolę; bo też według mego najgłębszego przekonania, cała ta „niemiecka rewolucja” jest z gruntu zła i fałszywa. Nie uwierzę nigdy, by mogło wynikać z tego coś dobrego czy to dla Niemiec, czy to dla świata.



Wannsee



Willa nad jeziorem Wannsee

W maju 1993 roku obchodzono 850-lecie powstania miasta Lubeki i w 90 lat po pierwszym wydaniu *Buddenbrooków* zostało uroczyste otwarte – w obecności ówczesnego prezydenta Niemiec Richarda von Weizsäckera – Centrum Henryka i Tomasza Mannów w Domu Buddenbrooków.

* * *

Światopoglądowo Tomasz Mann związał się przez małżeństwo z monachijskimi żydowskimi kręgami mieszczańskimi. Jego żona Katia pochodziła z zamożnej, świeckiej

rodziny Pringsheimów i po ślubie przeszła na luteranizm. W 1942 roku, gdy odbyła się konferencja w Wannsee, której tematem było omówienie „ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej”, rodzina Mannów żyła już za oceanem.

Willa nad jeziorem Wannsee, stylizowana na niewielki pałacyk, określana jest często jako willa z mroczną przeszłością. W latach 1941–1945 służyła jako hotel i miejsce obrad SS i tu 20 stycznia 1942 roku odbyła się konferencja nazistowskich urzędników pod kierownictwem Reinharda Heydricha,

na której zostały omówione szczegóły logistyczne dotyczące zagłady Żydów.

Odwiedziliśmy to niezwykle miejsce, które znajduje się w berlińskiej dzielnicy Wannsee, nad jeziorem o tej samej nazwie. W styczniu 1982 roku z okazji 40. rocznicy konferencji została umieszczona na willi tablica pamiątkowa *ku czci zamordowanych przez narodowosocjalistyczną dyktaturę żydowskich bliźnich*. W styczniu 1992 roku otworzono tu Miejsce Pamięci i Edukacji Historycznej „Dom konferencji w Wann-

Ekspozycja ▼





lin), siedzących w ogrodzie na fotelach. Konferencja Wielkiej Trójki miała być symboliczną „kończącą stacją” wojny, okazała się jednak początkiem zimnej wojny.

Po zakończeniu konferencji poczdamskiej pałac wraz z otaczającym go parkiem został udostępniony zwiedzającym. Niektórzy (podobnie jak uczestnicy konferencji) byli zdziwieni, bo w niczym nie przypominał np. pałacu w Liwadii, leżącej na południe od Jaltę na Krymie, gdzie Wielka Trójka obradowała poprzednio. Niewielki Cecilienhof wzniesiono w latach 20.

XX wieku dla następcy tronu Wilhelma Hohenzollerna i jego wystrój bardziej przypomina luksusowe domki myśliwskie niż przepychowe siedziby magnatów.

Dziś Cecilienhof należy do grupy pałaców i zespołów parkowych w Poczdamie i Berlinie wpisanych w 1990 roku na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Choć jego wnętrza są w remoncie, można oglądać budynek i ogrody, skąd jest już niedaleko do wspaniałego Sanssouci, rokokowego pałacu Hohenzollernów.

Znów żyjemy w niepewnych czasach, zmieniły się sojusze i układ sił po II wojnie światowej. Minęło 80 lat od jej zakończenia i miejmy nadzieję, że na mapie Europy znajdzie się kolejne miejsce o globalnym znaczeniu politycznym, gdzie zacznie się poważnie rozmawiać o pokojowych działaniach.

see”. Zwiedzając to miejsce spotykaliśmy liczne grupy młodzieży, oglądające multimedialną ekspozycję i dyskutujące z opiekunami w ogrodach nad pięknym jeziorem.

Kolejnym ważnym miejscem na mapie naszej podróży był znajdujący się zaledwie kilka kilometrów na południowy zachód od Berlina Poczdam, który jest znany głównie dzięki pięknym zabytkowym zamkom i parkom. Tegoroczną 80. rocznicę zakończenia II wojny światowej w Europie świętowano w maju, bo właśnie 8 maja 1945 roku podpisano bezwarunkową kapitulację III Rzeszy, co zakończyło działania wojenne w Europie. Nadal jednak trwał konflikt na Pacyfiku i Dalekim Wschodzie. Dopiero po zrzućeniu bomb atomowych na Hiroszimę i Nagasaki podpisano bezwarunkową kapitulację Japonii (2 września 1945) na po-

kładzie pancernika USS Missouri w Zatoce Tokijskiej, co formalnie zakończyło II wojnę światową.

Wcześniej, w dniach 17 lipca – 2 sierpnia 1945 roku, odbyła się konferencja w Poczdamie, która była ostatnim z tzw. spotkań „Wielkiej Trójki”, czyli przywódców USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR. Nie żył już Franklin Delano Roosevelt i na stanowisku prezydenta USA zastąpił go Harry Truman.

Przed 80 laty w położonym na uboczu pałacu Cecilienhof tworzyła się historia świata. Celem konferencji poczdamskiej było ustalenie powojennego ładu w Europie, określenie statusu Niemiec i ustalenie losów Polski oraz jej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej. Choć obrady odbywały się w Wielkiej Sali (Große Halle), opublikowano pamiętne zdjęcie uczestników (Winston Churchill, Harry Truman i Józef Sta-



Cecilienhof

ZBIGNIEW HERBERT

Na taką miłość nas skazali, taką przebodli nas ojczyzną

TEKST: RENATA PUTZLACHER

Kiedy zastanawiałam się nad tym, jakiemu tematowi z życia i twórczości Zbigniewa Herberta poświęcę uwagę w tym miesiącu, przeczytałam nagłówek, że przed 85 laty, 12 września 1940 roku, odkryto jaskinię Lascaux w południowo-zachodniej części Francji. Na jej ścianach znajdują się rysunki i malowidła (przede wszystkim zwierząt), wykonane w okresie paleolitu. Jej pierwszy dokładny opis czytałam przed laty w *Barbarzyńcy w ogrodzie* Zbigniewa Herberta i uświadomiłam sobie, że autor miał wielkie szczęście, bo oglądał jeszcze wnętrze tej jaskini krasowej 20 lat po jej odkryciu. Gdy wrócił do Polski, jaskinia była już zamknięta dla zwiedzających.

Herbert przypomina w swoim eseju, że odkrycia dokonała czwórka nastolatków szukająca zgubionego psa:

Jest wrzesień 1940 roku. Francja padła. Bitwa powietrzna nad Wielką Brytanią dochodzi do szczytu. Na dalekim marginesie tych wydarzeń, w lesie w pobliżu Montignac, toczy się akcja jak z powieści dla młodzieży, która przynieść miała światu jedno z najwspanialszych odkryć prehistorii. Nie wiadomo dokładnie, kiedy burza obaliła drzewo odstawiając otwór, który pobudził młodzieńczą wyobraźnię Marcela Ravidata i jego towarzyszy zabaw. Chłopcy sądzą, że jest to wejście do podziemnego korytarza, prowadzącego do ruin pobliskiego zamku. Pierwszy Ravidat znalazł się w grocie. Przyniesiono lampę i malowidła, od blisko dwudziestu tysięcy lat zamknięte w podziemiu, odstępowały się ludzkim oczom. Świat naukowy dowiedział się o znalezisku dopiero pięć lat potem, to znaczy, po zakończeniu wojny.

Herbert podczas zwiedzania uległ przez chwilę sceptycyzmowi na widok świeżości kolorów i doskonałego stanu zabytku z okresu paleolitu. Wytłumaczenie było proste – zasypałe przez tysiąclecia groty znajdowały się w stałych warunkach atmosferycznych, dzięki wilgoci na powierzchni wytworzyły się szkliste sole wapnia, konserwujące malowidła jak werniksy.

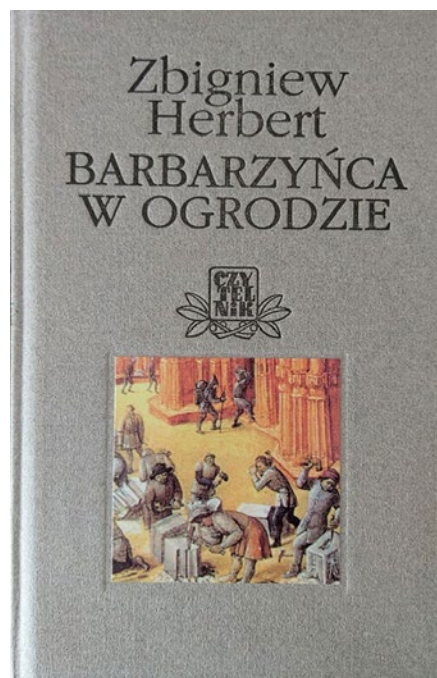
Niestety, zbyt duża liczba turystów, którzy odwiedzali jaskinię i większa ilość pary wodnej oraz dwutlenku węgla, które były przez nich wydychane, spowodowały pojawienie się na ścianach grzybów i ciemnych plam. Mimo wentylacji zachodziła degradacja malowideł ze względu na zmienione warunki atmosferyczne wewnątrz. Zamknięcie jaskini krasowej nastąpiło w 1963 roku, by zapobiec szkodom wyrządzanym przez odwiedzających.

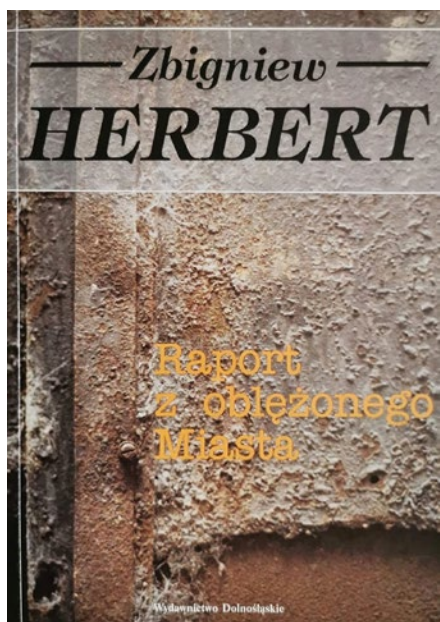
Grota w Lascaux stanowi zabytek najwyższej klasy i nazywana jest Kaplicą Sykstyńską Prehistorii. Została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO w 1979 roku. Wstęp do oryginalnej jaskini jest dziś bardzo ograniczony, dostępna jest tylko dla niewielkiej liczby naukowców. Można natomiast zwiedzać Lascaux II, wierną replikę części jaskini, lub Lascaux IV, która oferuje pełniejsze wrażenia z oryginalnej jaskini dzięki technologii cyfrowej. Tym bardziej działa na wyobraźnię dawny opis Herberta, który wracał stamtąd w podniosłym nastroju:

Wracałem z Lascaux tą samą drogą, jaką przybyłem. Mimo że spojrziałem, jak to się mówi, w przepaść historii, nie miałem wcale uczucia, że wracam z innego świata. Nigdy jeszcze nie utwierdziłem się mocniej w kojącej pewności: jestem obywatelem Ziemi, dziedzicem nie tylko Greków i Rzymian, ale prawie nieskończoności. To jest właśnie ludzka duma i wyzwanie rzucone obszarom nieba, przestrzeni i czasu.

* * *

W przywołanym przeze mnie po raz kolejny *Barbarzyńcy w ogrodzie*, zbiorze esejów Zbigniewa Herberta powstałych podczas jego pierwszej podróży na zachód w latach 1958–1960, widoczne jest zainteresowanie historią. Ciekawiły go nieprzystosowane jednostki, ludzie skrzywdzeni, narody, którym się nie powiodło w historii. Pisząc





o nich, był jednocześnie uczciwym kronikarzem polskiego losu narodowego.

Historia (nie tylko średniowieczna) uczy, że naród poddany metodom policyjnym demoralizuje się, kruszy wewnętrznie i traci zdolność oporu. Nawet najbardziej bezwzględna walka mężczyzn zmagających się twarzą w twarz nie jest tak zgubna, jak szepty, podsłuchy, strach przed sąsiadem i zdrada w powietrzu.

Herbert spędził poza krajem spory szmat życia. W poprzednim numerze opowiadałam o jego powrocie do Polski w czasie „karnawału Solidarności”. W liście do przyjaciół pisał: *Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę i odpocznjemy w ojczystej zagrodzie*. Wieczny wędrowiec, trwoniący nagrody i niezłe honoraria, podróżujący koleją, autobusami lub z braku środków pieszo, *jakby bał się zatrzymać, przeczuwając, że już więcej nie ruszy* – pisał o nim Ryszard Kosiński. Zatrzymał go w ojczyźnie na parę smutnych lat stan wojenny.

Nowy – szósty w kolejności tomik poetycki Zbigniewa Herberta – nosi tytuł *Raport z oblężonego Miasta i inne wiersze*. Wydany w 1983 roku w paryskim Instytucie Literackim został przedrukowany w kraju przez podziemną Oficynę Literacką (pierwsze oficjalne wydanie krajowe pojawiło się dopiero w 1992 roku). Miasto, zajmujące centralne miejsce w poezji Herberta, wcześniej było Lwowem, potem spaloną Warszawą, a podstawowym tematem *Raportu z oblężonego Miasta* jest Polska i jej historia (większość utworów została napisana pod wpływem grudnia 1981).

* * *

Już wcześniej, w antykomunistycznym manifestie, wierszu *Prolog*, Herbert pisał gorzko o Polsce, która stała się Krajem Przy/Nadwiślańskim, częścią wschodniego imperium:

*Rów w którym płynie mętna rzeka
nazywam Wisłą. Ciężko wyznać:
na taką miłość nas skazali
taką przebodli nas ojczyzną.*

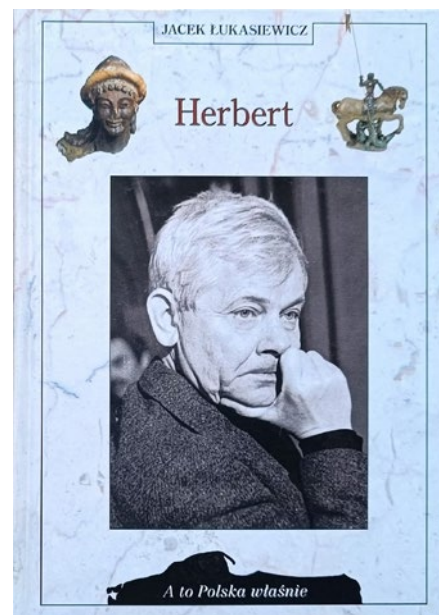
Andrzej Franaszek, biograf Czesława Miłosza i Zbigniewa Herberta, pisze, że dla Miłosza ojczyzna to *rodzinna okolica, ludzka gromada, dwór i wieś z ich litewsko-polską tożsamością, następnie zaś polski język*. Natomiast dla Herberta ojczyzna to *okrwa-wiony węzeł, jakiego nie może rozwiązać jednostka*. W wierszu *Odpowiedź* czytamy wyznanie Herberta-Europejczyka, którego duchową ojczyzną – obok Polski – było Śródziemnomorze (z taką pasją opisywane w młodzieńczym zbiorze esejów):

*helleńska rzymska średniowieczna
indyjska elżbietańska włoska
francuska nade wszystko chyba
trochę weimarska i wersalska
tyle dźwigamy naszych ojczyzn
na jednym grzbiecie jednej ziemi*

A jednak ten wieczny podróżnik, który daremnie próbuje uciec przed systemem, niewolącym część Europy, w której przyszedł na świat, uświadamia sobie, gdzie spoczną jego szczątki doczesne. To jedno z najbardziej tragicznych wierszy, poświę-

conych ojczyźnie – Polsce, dalekie echo wiersza Mickiewicza *Do matki Polki*:

*lecz ta jedyna której strzeże
liczba najbardziej pojedyncza
jest tutaj gdzie cię wdepczą w grunt
lub szpadlem który hardo dzwoni
tęsknocie zrobią spory dół.*

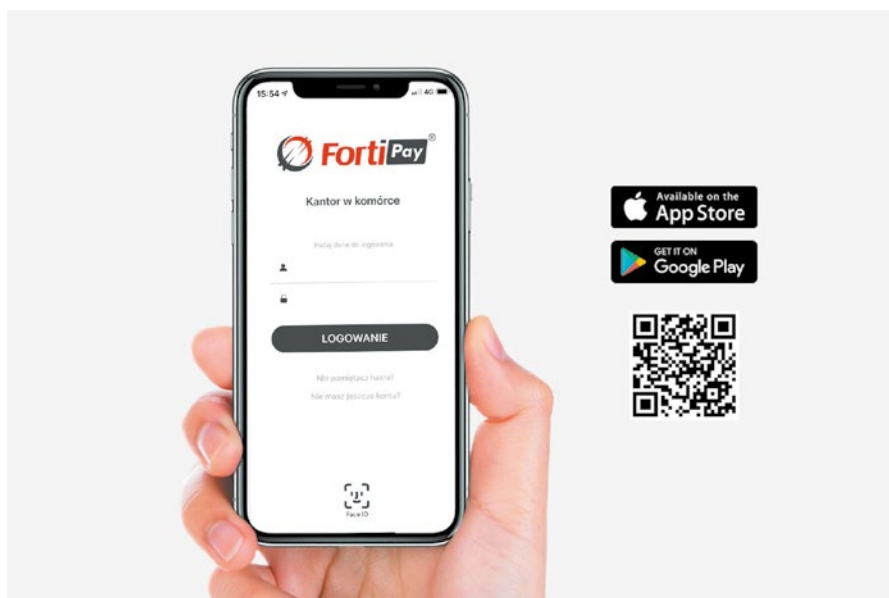


Podczas pisania artykułu korzystałam z następujących publikacji:

Zbigniew Herbert, „Wiersze zebrane” (2021)

Zbigniew Herbert, „Barbarzyńca w ogrodzie” (1999)

Jacek Łukasiewicz, „Herbert” (2001)



JĘZYK ANGIELSKI DOPASOWANY DO UCZNIÓW W SZKOLE



AUTOR: IZABELA WACŁAWKOVÁ / ZDJĘCIA: MARIAN SIEDLACZEK

Nowory rok szkolny to czas nowych wyzwań – nie tylko dla uczniów, ale także dla nauczycieli, zwłaszcza tych, którzy dopiero zaczynają swoją przygodę w zawodzie. Do jabłonkowskiej szkoły podstawowej przyjeżdżają dzieci z okolicznych wiosek, aby kontynuować naukę na drugim stopniu. Swoją pierwszą nauczycielską podróż w tej placówce rozpoczęła również Jolanta Drobisz jako nauczycielka języka angielskiego.

Co skłoniło Cię do podjęcia pracy nauczycielki?

Na początku poszłam na studia anglistyki, ponieważ zawsze lubiłam języki. Na licencjacie w Ostrawie studiowałam ogólną filologię angielską. Kiedy zdobywałam doświadczenia z różnych dziedzin, stwierdziłam, że właśnie pedagogika jest naprawdę ciekawa. Podobały mi się kreatywne zajęcia dydaktyczne, dlatego postanowiłam rozwijać się w tej dziedzinie. Z tego powodu na studiach magisterskich w Pradze wybrałam pedagogikę angielską.

Tvoja mama pracuje w Trzyńcu jako nauczycielka. Czy pomagała Ci w wyborze tej ścieżki zawodowej?

Rodzice ogólnie nie ingerowali w mój wybór. Ale na pewno teraz bardzo pomagają mi rady mamy, szczególnie w kwestiach praktycznych, gdy przygotowuję plany lekcji, materiały i gry dydaktyczne.

Co Cię sprowadziło do Polskiej Szkoły Podstawowej w Jabłonkowie?

Po zdaniu egzaminów końcowych pytałam o pracę w różnych szkołach na Zaolziu, a w Jabłonkowie akurat zwolnił się etat. Uczę języka angielskiego zarówno na pierwszym, jak i na drugim stopniu. W przypadku tego przedmiotu często się zdarza, że nauczyciele drugiego stopnia prowadzą także zajęcia w klasach młodszych.

Jesteś na początku swojej kariery nauczycielskiej. Jak wspominasz pierwsze doświadczenia w zawodzie?

Największy szok przeżyłam nie w pierwszym dniu pracy, lecz już podczas praktyk w czasie studiów. Towarzyszyły mi wtedy mieszane uczucia związane z pierwszym wyjściem przed uczniów. Brakowało mi pewności siebie i poczucia, czy rzeczywiście stoję po właściwej stronie klasy. Po podjęciu pracy jedyną różnicą było to, że w klasie stałam

sama, podczas gdy na praktykach zawsze obecny był ktoś jeszcze. Trzeba się było przyzwyczaić, że przez ponad dwadzieścia lat człowiek był uczniem lub studentem, a nagle sytuacja się odwraca.

Czy uczniowie okazywali Ci respekt mimo młodego wieku?

Na początku uczyłam trzecią, czwartą i szóstą klasę. Młodsze dzieci na pierwszym stopniu w ogóle nie zauważały, że jestem świeżo po studiach i dopiero rozpoczynam pracę jako nauczycielka. Często zadawały mi pytania, by lepiej mnie poznać. Pytały także, gdzie wcześniej pracowałam, a gdy odpowiadałam, że studiowałam, były bardzo zdziwione. Mam wrażenie, że nawet nie dostrzegają różnicy wieku między mną a innymi nauczycielami. Wiek nie miał większego znaczenia w zdobywaniu szacunku uczniów.

Co Ci bardziej odpowiada – praca na pierwszym czy drugim stopniu?

Chyba bardziej odpowiada mi nauczanie na drugim stopniu, ponieważ tam dzieci są bardziej samodzielne. Na pierwszym stopniu tempo pracy jest wolniejsze, a uczniowie w tym wieku potrafią zadawać mnóstwo pytań, nawet o to, jakiego koloru kredki użyć przy wykonywanym ćwiczeniu. Z drugiej strony, właśnie w młodszych klasach widać większy zapał do nauki, wszyscy zgłaszają się po każdym pytaniu i potrafią nawet klócić się o to, kto zostanie wywołany. Natomiast na drugim stopniu trzeba uczniów częściej motywować i zachęcać do pracy.

Do Jabłonkowa przychodzą dzieci z innych „małoklasowych” szkół do szóstej klasy. Czy podczas lekcji języka angielskiego nadal pracują w dwóch grupach?

To zależy od rocznika i liczby uczniów. Na przykład w siódmej klasie są trzy grupy po trzynaście osób, a w ósmej aż cztery grupy.

Według czego dzielicie uczniów na poszczególne grupy?

Na początku roku szkolnego dzieci piszą test, który celowo jest nieco trudniejszy, aby lepiej określić ich poziom zaawansowania w języku angielskim. Wszystkie grupy przerabiają ten sam materiał z tych samych podręczników, jednak różnią się tempem pracy oraz czasem poświęcanym poszczególnym tematom. Same oceny nie stanowią kryterium podziału na grupy.

Czy widać różnice w poziomie języka między uczniami?

Tak, zdecydowanie. Często widać większe zaangażowanie i zainteresowanie językiem, gdy ktoś w domu ogląda filmy lub czyta po angielsku. Zauważyłam też, że chłopcy, którzy grają w gry komputerowe w języku angielskim, często posługują się charakterystycznym słownictwem. W porównaniu z moimi latami szkolnymi, dzieci mają dziś znacznie łatwiejszy dostęp do języka angielskiego, na przykład poprzez YouTube i inne media społecznościowe.

Poszczególni nauczyciele są przypisani do konkretnych grup, czy też się wymieniają?

Zazwyczaj każdy nauczyciel jest przydzielany do konkretnej grupy, którą prowadzi od klasy szóstej do dziewiątej. Zamiany zdarzają się rzadko.

Masz jakiś swój osobisty styl nauczania?

Staram się poznać każdą grupę i dostosować do niej swój sposób pracy. Czasami trafiają się grupy bardziej rozmowne, którym odpowiada dynamiczna, oparta na dyskusji lekcja. Są też grupy bardziej introwertyczne, gdzie sposób prowadzenia zajęć wygląda zupełnie inaczej. Staram się również dopasowywać tematy i czynności. Oprócz obowiązkowych planów lubię wprowadzać takie, które będą dla uczniów ciekawsze i bliższe



ich zainteresowaniom. Do każdej grupy podchodzę więc indywidualnie.

Czy jest coś, na czym przede wszystkim się skupiasz? Co uważasz za najważniejsze – mówienie, znajomość gramatyki czy pisanie?

Dzisiaj kładzie się nacisk na konwersację, aby uczniowie potrafili porozumieć się z innymi np. podczas wakacji. W każdym razie staram się uczyć wszystkiego tak, aby mówienie przebiegało naturalnie. Kiedy ćwiczymy mówienie, nie przerywam im ani ich nie poprawiam, w tym momencie najważniejsze jest, aby czuli się pewnie i koncentrowali się na płynności wypowiedzi.

Ponieważ uczę w szkole podstawowej, zależy mi, aby uczniowie opanowali podstawy gramatyki i zbudowali solidne fundamenty, które pozwolą im w przyszłości swobodnie posługiwać się językiem. Nie „wałkuję” słówek. Nie chodzi mi o to, aby uczyli się listy słówek, lecz o to, by opanowali słownictwo w trakcie realizacji wybranego projektu i sami zapoznali się z potrzebnym zasobem słów. W ten sposób łatwiej zapamiętują nowe wyrazy bez zbędnego wysiłku.

Jak to wygląda w praktyce?

Na przykład pod koniec roku szkolnego powiedziałam uczniom, że nie będziemy robić dużego sprawdzianu końcowego, lecz przygotują prezentację. Znajomość gramatyki pokazali w praktyce w ten sposób, że wylosowali jedno miasto i mieli o nim opowiadać, jakby właśnie z niego wrócili – co robili, co zwiedzili i z kim tam byli. W ten sposób udowodnili, że potrafią używać czasu przeszłego.

Zatem starasz się prowadzić lekcje tak, aby uczniowie polubili ten język?

Oczywiście. Od dawna wiadomo, że łatwiej uczymy się rzeczy, które lubimy i są dla nas interesujące. Staram się przychodzić do klasy z nowymi pomysłami i w ten sposób wzbudzać entuzjazm dzieci. W swojej pracy lubię eksperymentować i dostosowywać lekcje do każdej grupy, aby zmotywować uczniów i zachęcić ich do nauki.

Jakie inne języki są obecnie do wyboru w jabłonkowskiej szkole podstawowej?

W ramach przedmiotu wybieralnego dostępne są obecnie języki obce: niemiecki i hiszpański a także zajęcia z technologii informacyjno-cyfrowych oraz z badań przyrodniczych. W zeszłym roku, na przykład, dostępna była również edukacja teatralna. Podoba mi się to, ponieważ szkoła podstawowa powinna dawać szerokie możliwości i oferować różnorodne zajęcia wszystkim dzieciom, zgodnie z ich zainteresowaniami.

W każdym razie, awansowałaś na wychowawczynię klasy i uczysz też matematyki. Jak do tego doszło?

Od zeszłego roku jestem wychowawczynią obecnych siódemoklasistów, co wniosło nowy wymiar do mojej pracy. Jeśli chodzi o nauczycieli przedmiotów ścisłych, zawsze jest ich mniej. Od zawsze miałam wiele zainteresowań, a maturę w gimnazjum zdawałam także z matematyki, dlatego powiedziałam, że w razie potrzeby jestem do dyspozycji. Zapotrzebowanie pojawiło się już w następnym roku. Pani dyrektor wprowadziła nauczanie matematyki w tandemie, gdzie dwóch nauczycieli prowadzi

zajęcia razem, dzięki czemu mogłam wdrożyć się w nauczanie tego przedmiotu pod okiem doświadczonego nauczyciela. To dla mnie przyjemna zmiana, teraz moja praca jest bardziej różnorodna. Już w zeszłym roku brałam udział w różnych szkoleniach dotyczących nauczania matematyki, a w przyszłości chciałabym zdobyć dodatkowe wykształcenie matematyczne.

Jak to jest być wychowawczynią klasy?

Jest wiele rzeczy, o których nie miałam zielonego pojęcia, że będę się nimi zajmować jako wychowawca. Człowiek się nie nudzi. Fajne jest mieć własną klasę. Była to duża zmiana w pracy, począwszy od komunikacji z rodzicami, aż po sprawy administracyjne. Praca wychowawcy obejmuje opiekę nad klasą i ciągle jest coś do załatwienia: od kursu adaptacyjnego, przez organizację wycieczek, wigilijki, aż po program festynowy. Między lekcjami rozwiązuję sprawy wychowawcze. Są to rzeczy, do których trzeba się przyzwyczaić; obowiązków wychowawcy na studiach się nie uczy. Moja klasa jest żywa i fajnie jest obserwować jej rozwój.

Jakie są twoje relacje z rodzicami? Jak przeżywasz wywiadówki?

Na początku miałam lekkie obawy. Tego, jak prowadzić wywiadówki, też nie uczy na studiach. W naszej szkole funkcjonuje inny system wywiadówek niż ten, do którego byłam przyzwyczajona. Odbývają się one w formie indywidualnych konsultacji: wychowawca, rodzic i dziecko. Współpraca z rodzicami w trakcie roku okazała się bardzo owocna i wzajemnie wspierająca, za co jestem ogromnie wdzięczna.



DAWNYCH WSPOMNIENIŃ CZAR

ABSOLWENCI PIĘCIOKLASÓWKI W TRZYŃCU-KANADZIE SPOTKALI SIĘ 80 LAT OD POWSTANIA SZKOŁY

TEKST I FOTO: KRZYSZTOF ROJOWSKI

To było popołudnie pełne pięknych wspomnień, rozmów i refleksji. W budynku koła PZKO w Trzyńcu-Kanadzie, stojącego tuż obok dawnej pięcioklasowej szkoły podstawowej, spotkali się absolwenci tej placówki w 80. rocznicę rozpoczęcia jej działalności. Przygotowania do tego wydarzenia trwały przez ostatnie dwa lata, a efektem jest specjalna wystawa przypominająca byłym uczniom i uczennicom dawne szkolne dni.

PRZEDWOJENNE TRADYCJE POLSKIEGO SZKOLNICTWA W TRZYŃCU-KANADZIE

Tradycje polskiego szkolnictwa na terenie dzisiejszego Trzyńca-Kanady sięgają jeszcze czasów przedwojennych. W 1936 roku powstała tam szkoła podstawowa z polskim językiem nauczania, ale jej działalność przerwał wybuch II wojny światowej. Dopiero po jej zakończeniu w 1945 roku działalność rozpoczęła – jak brzmiała ówczesna nazwa – Jednoklasowa Szkoła Ludowa z Polskim Językiem Wykładowym w Trzyńcu. Jak podkreślał w swoim wystąpieniu Henryk Lanc, jeden z byłych uczniów, była to zupełnie nowa placówka.





Jej dyrektorem, a także jedynym nauczycielem został Karol Cieńciała, który prowadził ją aż do zamknięcia w 1966 roku.

SZKOŁA WYCHOWAŁA UCZCIWYCH LUDZI

Pięcioklasówkę w Trzyńcu-Kanadzie ukończyło około 270 uczniów. Na spotkanie, które odbyło się w sobotę (13 września) w siedzibie tamtejszego koła PZKO, przysłała około dwudziestka absolwentów. Głównymi organizatorami spotkania byli absolwenci Jarosław Miczek, Janina Russ, Janina Fiala oraz Zbigniew Żmija. Przygotowania trwały dwa lata i polegały przede wszystkim na identyfikacji osób z archiwalnych zdjęć – łącznie udało się rozpoznać około 190 osób, osiemdziesiąt wciąż czeka na rozpoznanie.

Spotkanie toczyło się w bardzo przyjaznej i przyjacielskiej atmosferze. Na początku gości przywitali prezes miejscowego koła Astrid Štefanová wraz z Jarosławem Miczekiem, a w późniejszej części historii tej dzielnicy Trzyńca przypomniał krótko doktor Jiří Jícha. Krótkie przemówienie, przywołujące wspomnienia z czasów szkolnych, wygłosił z kolei wspomniany wyżej Henryk Lanc.

– Szkoła dała nam solidne fundamenty do dalszych studiów. Wychowała przyszłe nauczycielki, pielęgniarki, urzędniczki, inżynierów, techników, przyszłą dyrektorkę szkoły podstawowej, panią profesor matematyki w gimnazjum, lekarza hematologa, panią

doktor stomatologii, panią doktor pediatrę, doktora praw i zarazem wysokiej rangi pracownika policji. Przede wszystkim zaś wychowała swoich uczniów na uczciwych, ofiarnych, pracowitych i skromnych ludzi, patriotów, którzy udzielali się lub nadal udzielają dla naszego społeczeństwa. Członków zarządów, prezesów kół PZKO – podkreślał.

UCZNIOWSKICH WSPOMNIENI CZAR

Lanc podzielił się także kilkoma osobistymi wspomnieniami. Jedno z nich dotyczyło rozpoczęcia pierwszego roku szkolnego 1945/46. – Było ono połączone z nabożeństwem w dwóch trzynieckich kościołach – katolickim i ewangelickim. Przed wyjściem pan

kierownik (dyrektor szkoły, Karol Cieńciała, który ją prowadził przez cały okres działalności – przyp. red.) wezwał ewangelików, a pani kierownikowa katolików, ale nie okazało się skuteczne. Wobec tego pan kierownik powiedział: kto chodzi do czerwonego kościoła, ten katolik. Kto do białego – ewangelik. I dopiero to przyniosło skutek – opowiadał, wywołując uśmiechy na twarzach dawnych kolegów i koleżanek ze szkolnych ław.

Inne wspomnienie dotyczyło kreatywności, jaką potrafili się wykazać zarówno uczący, jak i rodzice. Szkoła bowiem organizowała szereg różnych aktywności pozalekcyjnych. – Odbywało się pewnego razu przedstawienie, dzieci występowały przed rodzicami. Było to w szkole, w klasie. By wy-





stępujący byli lepiej widoczni, rodzice zmagstrowali podium z desek postawionych na pożyczonych beczkach piwnych z gospody pana Hermana. To było bardzo pomysłowe rozwiązanie – podkreślał.

WZÓR CIERPLIWOŚCI I POMYSŁOWOŚCI

Postać Karola Cieńciały, dyrektora pięcioklasówki, bardzo dobrze wspomina Irena Małysz. Edukację w szkole rozpoczynała w 1945 roku i w rozmowie ze „Zwrotem” przyznaje, że od dzieciństwa chciała zostać nauczycielką, a wzorem dla niej był właśnie Cieńciała. – *Była nas w klasie czterdziestka, z różnych roczników. Jak on to pięknie potrafił wszystko zaplanować! Jeden rocznik zajął tym, drugi tamtym, trzeci*

jeszcze czymś innym, a czwartemu i piątemu wykładał. To była fenomenalna robota, coś nie do pojęcia. Był wzorem cierpliwości i pomysłowości – opowiada.

Ważna była wtedy też dyscyplina. – *Miał swoją drogą taki „kijoszek” i kto zapominał być grzecznym, siedzieć po cichutku i słuchać, to po tapie dostał. Ja sama raz dostałam, za podpowiadanie* – przyznaje Małysz.

Ta znana w regionie nauczycielka i dawna dyrektor Polskiej Szkoły Podstawowej w Trzyńcu, związana także przez lata także z chórem *Zgoda*, edukację szkolną w Trzyńcu-Kanadzie wspomina bardzo dobrze. – *Nie lubiłam jedynie matematyki (śmiej), nauk ścisłych ogólnie. Chciałam studiować język polski, ale na uniwersytecie w Opawie go nie było, zresztą nie mogłam też aż tak obciążać rodziców – tatuś*

był już na emeryturze. Poszłam więc na dwuletnie studium – pan dziekan proponował mi fizykę i matematykę właśnie, a ja prosiłam o zmianę. Był bardzo miły i zaproponował biologię i geografę – przyznaje z uśmiechem.

DAWNE CZASY, WSPÓŁCZESNE PROBLEMY

Szkoła została zamknięta wraz z końcem roku szkolnego 1965/1966. Jak mówi „Zwrotowi” Jarosław Miczek, który jej mury opuścił w 1964 roku, powodem były kwestie finansowe. Trzeba przyznać, że ta retoryka obecna jest również dziś.

– *Już wtedy ubywało uczniów, był to czas zmian społecznych, a szkoły matoklasowe swoje kosztowały. Placówki się tęczyły, zupełnie jak dzisiaj. Mówiło się, że to bardziej ekonomiczne. Wcześniej nikomu nie przeszkadzało, że w klasach było po kilku uczniów* – wyjaśnia Miczek.

Pięcioklasówka w Trzyńcu-Kanadzie była jednak miejscem wyjątkowym. Dzięki wielu aktywnościom, w które zaangażowani byli jej uczniowie i ich rodziny w czasie wolnym, powstały przyjaźnie trwające do dziś. – *Te najpiękniejsze wspomnienia związane są przede wszystkim ze wspólnymi zainteresowaniami* – mówi „Zwrotowi” Jarosław Miczek. – *W klasie była nauka, lekcje i tak dalej, ale poza nią była cała masa wspólnych aktywności. Grało się w piłkę, były różne zajęcia, zawody, chodziło się na basen. Tam rodziły się przyjaźnie* – podkreśla nasz rozmówca.





W CISZY ARMAT PADŁA

TEKST I FOTO: KRZYSZTOF ROJOWSKI

— **C**o to za twierdza, która ma osiem armat, a każda zardzewiała? Co to za forteca, gdzie w kwaterach są zapchane kominy, dach przecieka, a nawet palisada gdzieś odpada? No i jeszcze ta zima, bez ogrzewania, na starych pryzkach, a śniegu na dwa metry. I to się miało obronić? – mówi Michał. – Były przepisy, że mamy mieć czysty mundur wołoski, sprawne muszkiety z bagnetami, a popatrz na to – dodaje, pokazując podziurawiony kaftan i ubłocone bryczesy. Dotyka palcami bagnetu, jest tępy. – No, ale przynajmniej żyjemy – uśmiecha się.

ZŁO NADESZŁO Z PÓŁNOCY

Mieszkańcy małego cieszyńskiego księstwa byli już zmęczeni wojnami. Ich ziemie nawiedzali w ostatnich latach Tatarzy, Osmanowie, przechodziły tędy wojska różnych nacji, a jak przechodziły, to kradły i rabowały. Wydawało się jednak, że w końcu wojenna zawierucha ucichła. Niestety, nie na długo.

Wcześniej mieszkańców księstwa niepokoiли południowcy i nikt się nie spodziewał, że zagrożenie może przyjść z przeciwległego bieguna. Poszło szybko – jeszcze w grudniu 1740 roku do Cieszyna doszły słuchy o buncie przeciwko Habsburgom w odległym o ponad 200 kilometrów Wrocławiu, a kilka dni później na Śląsk wkro-

czyli Prusacy. Byli jak zimowa zawierucha – 1 stycznia wtargnęli do samego grodu nad Olzą i zajęli Księstwo.

– *Mówili, że mają dowódcę, co z samym królem się przyjaźni, że w bojach zaprawiony. Taki dowódca to nie w kij dmuchał, a pod sobą to miał armię co się zowie* – opowiada Michał. On sam stacjonował w Wielkim Szańcu, zrekrutowali go na wybrańca.

– *Służyliśmy pod baronem O'Reilly'm, to Irlandczyk. Skierowali go tu z Wiednia, chłop wykształcony, wyuczony. Dostał chłopów może i twardych, charakternych, ale my mieli głównie granicę pilnować, obcych przepędzać i wyganiać ich bydło. Nie walczyć z armiami wroga* – przyznaje.

(NIE)ZDOBYTA TWIERDZA

Wielki Szaniec pod Jabłonkowem był kiedyś prawdziwie niezdobyta twierdzą. Krążyły na jego temat nawet legendy o trzystu dzielnych wybrańcach, co odparli cztery tysiące Tatarów. Twierdza miała pilnować granicy Księstwa Cieszyńskiego i z zadań się wywiązywała.

Czasy świetności miała już jednak za sobą. Niby miała baraki kryte gontem, ale co z tego, skoro dach bywał dziurawy. Niby były szklane okna, ale wiele szyb zostało wybitych. Niby był piec kaflowy, ale zapchany i nie czyszczony. Brakowało pieńędzy, nawet w książących skarbcach były pustki po latach wojennej zawieruchy.



– Dowódcy pruscy mieli polecenie od samego Fryderyka II, by mieć baczenie na szzańce pod Jabłonkowem. Chyba się spodziewali trudnej bitwy, a my tutaj staliśmy z pełnymi gaciami – mówi O'Reilly.

Dowództwo garnizonu nie miało wyboru, jak tylko się poddać bez walki. – Poszliśmy tam w dwójkę, z pułkownikiem von Wallisem. Udało się nam ugrać, że zabierzemy dwie armaty i możemy uciec do Czadcy, a nic nam nie zrobią. Wzięliśmy ich na łitość – przyznaje Irlandczyk.

KSIĘSTWO BIEDNE JAK MYSZ KOŚCIELNA

Po zajęciu Księstwa, pruskie dowództwo z podbitych gmin wzięło kontrybucję. Poza samą stolicą. – W księżym skarbcu wicher dął, takie tam były pustki – mówi pułkownik.

Z bytym już dowódcą i wojem spotykamy się w Czadcy, gdzie skierowali ich Prusacy. Siedzimy w oberży, jest ciepło, gwarno. – Przynajmniej tu słyszymy hałas. A nasza twierdza w ciszy armat padła – przyznaje z goryczą Maciej.

Za pomoc merytoryczną i konsultację autor dziękuje Martinowi Krulowi z Muzeum Cieszyńskiego w Czeskim Cieszynie

Bibliografia:

1. „Šance v Mostech u Jablunkova. Opevnění slezské hranice v průběhu staletí” – Martin Krůl, Czeski Cieszyn, 2021
2. „Porta Silesiae. Jablunkovské šance – raně novověký fortifikační systém na pomezí Slezska, Uher a Polska” – Martin Krůl, Český Těšín 2024
3. „Dzieje Księstwa Cieszyńskiego”, Michael Morys-Twarowski, Ustroń 2023

– Ostatni żołd to prawie rok temu dostaliśmy, jakieś grosze marne. By żyć, musieliśmy bytło kraść z węgierskiej strony, nawet jeśli było poza ustaloną granicą. Strzelano się z tych muszkietów, co jeszcze sprawne były, a potem się to mięso jadło – wyjaśnia Michał.

– Miałem pod sobą setkę rekrutów, wybrańcami ich nazywali – opowiada nam podpułkownik Johann O'Reilly. – W Wiedniu mi mówili, że to porządne chłopcy, silne, postawne, miały granicy pilnować. No i tacy byli, ale jak mieli walczyć z pruską armią? W takich warunkach? – dodaje przygnębiony.

NAWET PALISADY NIE POSTAWILI

Jedynie śniegu nie brakowało pod Wielkim Szańcem. – Zimy bywały tu srogie, ale ta dawała szczególnie w kość – mówi pułkownik. – Gdy oddziały barona de la Motte zajęły Księstwo, złożyłem od razu meldunek dowództwu na Węgrzech. Było już za późno. Nie minął tydzień, jak armia stała u wrót Szańca – dodaje O'Reilly.

– To nie tak, że nic nie robiliśmy w międzyczasie. Baron Skrbeński, który był starostą w Cieszynie, wystął do nas robotników, by zrobić chociaż prowizoryczne umocnienia. Nie dali rady nawet postawić palisady, tyle było śniegu i lodu – wspomina Irlandczyk. – A ja kiedyś narzekałem na nasze irlandzkie deszcze – uśmiecha się pod nosem.

Był ranek 8 lutego. Gdyby spojrzeć na górzyste tereny z lotu ptaka, widzielibyśmy mały – Wielki Szaniec, otoczony dziurawą miejscami palisadą i puste pole wokół. Drzewa rosły dopiero kilkaset metrów dalej, na skraju wielkiej polany. Roślinność wycinano, by była dobra widoczność i działa mogły strzelać na dalekie odległości. No i strzelałyby, gdyby były sprawne.

Do szanica prowadziły dwie bramy – południowa, węgierska i północna, śląska. O świcie, przy tej drugiej, woje dostrzegli prawdziwą nawałnicę. Nie śnieżną, a pruską.

NIECH SIĘ CIESZĄ, ŻE TAK DŁUGO WYTRZYMALIŚMY

– Pamiętam ten poranek. Maciej miał wtedy nocną wartę, już miał schodzić, jak zobaczył tą zarazę za śląską bramą. Wyjął róg i zaczął dąć, ale to nie miało sensu. Tylu ich było – mówi Michał.

W szanicy wybuchł chaos. Część wojów sforsowała drugą z bram i wybiegła przed siebie. Nawet nie myśleli, że wkraczają na teren, którego przecież mieli strzec. Wróg był od północy, nie od południa jak zwykle. – Gdy zobaczyliśmy tę pruską horde, to co mieliśmy robić? Czego bronić? Tej ruiny? Księcia i cesarza, którzy nam od roku nie ptacili? W chatupie baba sama, dzieci trójka, a ja mam za Marię Teresę ginąć? Niech się i tak cieszą, że tak długo to znosiłimy – grzmi wojak.

– Nie pokpili sprawy, trzeba im przyznać – mówi O'Reilly. – Wystali tu całą armię, z 10 tysięcy jak nic. Opór oznaczałby rzeź – dodał.

Na Szańcu stacjonowało niewiele ponad dwustu żołnierzy – oprócz wybrańców pod dowództwem Irlandczyka, była też piechota z regimentu Franza Wenzela von Wallisa, z czego zdecydowaną większość stanowili niewyszkoleni rekruci. Powiedzieć, że nie mieli szans, to nic nie powiedzieć.



WOŁONTARIAT ZA GRANICĄ

- PRZEŻYCIE, KTÓRE OTWIERA SERCE
I POZWALA NA BYCIE LEPSZYM



TEKST I ZDJĘCIA: IZABELA ADÁMEK

Portugalia chodziła mi po głowie od dawna. Słyszałam mnóstwo pozytywnych opinii o atmosferze luzu w tym kraju i bardzo chciałam poczuć to na własnej skórze. Dlatego kiedy zaczęliśmy szukać kolejnej okazji do wolontariatu za granicą, Portugalia od razu wydała się właściwym kierunkiem – i tak też się stało. Po wystaniu kilku zgłoszeń zostaliśmy przyjęci na wolontariat w Portugalii, w małym miasteczku Consolação, niedaleko Peniche i Baleal, miejsc znanych z kultury surfingu, słonecznej pogody i dobrej atmosfery. I dokładnie to tam znaleźliśmy... a nawet dużo, dużo więcej.

Jedną z rzeczy, które najbardziej kocham w wolontariacie za granicą, jest to, że naprawdę masz czas, aby doświadczyć atmosfery miejsca, w którym przebywasz. To nie jest jak tygodniowe wakacje. Spędziliśmy miesiąc w Portugalii, bardzo intensywny czas, podczas którego odkrywaliśmy różne miejsca, ale przede wszystkim zanurzyliśmy się w lokalnej kulturze. I to właśnie sprawiało mi największą radość.

Uwielbiam ten moment, kiedy sprzedawca z piekarni staje się znajomym, a ty witasz się z nim *ola*, mijając go na ulicy. Kiedy ulice miasta stają się znajome, już się nie gubisz, spacerując po okolicy, zaczyna się robić jak w domu. I to jest właśnie moja ulubiona część, kiedy czujesz i wiesz, że to już nie jest tylko miejsce urlopu. To miejsce zaczyna zajmować szczególnie przestrzeń w twoim sercu. I wtedy wiesz, że pożegnanie będzie trudniejsze, niż się spodziewałaś. Ale to też uświadamia ci, że to doświadczenie jest prawdziwe. Nawet jeśli odejście będzie bolało, wiesz, że właśnie to robi twoje doświadczenie wyjątkowym. Na tym polega wolontariat za granicą.

HOSTEL PEŁEN DOBREJ ENERGII

Nasza praca polegała głównie na pomocy w hostelu i sprzątananiu, ale zajmowało to maksymalnie 3 godziny dziennie – reszta dnia była wolna. I szczerze mówiąc, często nawet nie odczuwałam tego jako pracy. Właściciele hostelu to ludzie o niesamowicie wielkich sercach, co od razu sprawiało, że wszystko było łatwiejsze i przyjemniejsze. Świadomość, że pracujesz w miejscu, w które ktoś wkłada tyle energii i siebie, by stworzyć przyjazną przestrzeń dla ludzi z różnych zakątków świata, nadawała tej pracy sens i głębsze znaczenie. Supertubos Beach Hostel, bo tak nazywa się miejsce, w którym spędziliśmy nasz wolontariat, to przestrzeń istniejąca z miłości, pasji i potrzeby tworzenia miejsca, gdzie każdy czuje się doceniony, równy innym i jak w domu.

I to właśnie sprawia, że to miejsce jest tak wyjątkowe.

Mieliśmy także niesamowitą grupę wolontariuszy, z którymi dzieliliśmy to wyjątkowe doświadczenie. Im również należą się ogromne podziękowania – bez nich wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej. Zawsze zaskakuje mnie, jak głęboką więź można zbudować z kimś w tak krótkim czasie.

Ale kiedy przyszedł dzień wyjazdu i żegnałam się ze łzami w oczach, wiedziałam, że te relacje miały prawdziwe znaczenie. I jestem pewna, że to nie było pożegnanie – to było tylko *do zobaczenia*.

MAŁE WYCIECZKI

Podczas naszego pobytu mieliśmy okazję odwiedzić okoliczne miejsca, które okazały się niesamowite. Pojechaliśmy do Nazaré – miejscowości słynącej z największych fal

na świecie, które można podziwiać zimą, nawet latem czuć tam jednak niezwykłą atmosferę tego miejsca. Odwiedziliśmy również Cabo da Roca – najbardziej wysunięty na zachód punkt Europy, z zapierającymi dech w piersiach widokami na ocean. Tam naprawdę można poczuć się jak na końcu świata. Spędziliśmy też popołudnie w Sintrze, wyjątkowym miejscu, które przypomina bajkę dzięki swoim zamkom i bogatej historii. Te małe wycieczki uczyniły nasz pobyt jeszcze ciekawszym, pozwoliły nam lepiej poznać Portugalie i sprawiły, że zakochałam się w niej coraz bardziej z każdym kolejnym przystankiem.

Ale to nie tylko wycieczki sprawiły, że tak się poczułam w Portugalii. To całe doświadczenie pomogło mi wyjść ze strefy komfortu w najlepszy możliwy sposób. A to zawsze coś dobrego, bo wyjście ze strefy komfortu często prowadzi do najpiękniejszych wspomnień i przeżyć. Miałam czas, żeby się zatrzymać, posiedzieć





rano w ciszy na plaży, zanurzyć stopy w piasku, posłuchać śmiechu ludzi oglądających zachód słońca. Dostawałam uściski od nieznajomych, słuchałam muzyki na żywo na ulicach, i to właśnie te małe rzeczy kochałam najbardziej. Kochałam ten spokój. Kochałam uczucie, które towarzyszyło mi, gdy patrzyłam na ocean. Kochałam tę wolność i dobroć, którą czułam ten portugalskiej codzienności.

ROZMOWY Z NIEZNAJOMYMI

Podczas naszej podróży spotkaliśmy ludzi z różnych zakątków świata, o różnym kolorze skóry, pochodzących z innych kultur, w różnym wieku, wyznających różne religie.

Te spotkania dały mi wiele do myślenia. Spędziłam godziny na rozmowach z nieznajomymi, którzy byli zupełnie inni ode

mnie i wcale nie czułam się z tym dziwnie. Dlaczego? Bo od samego początku darzyliśmy się wzajemnym szacunkiem. To jeszcze mocniej uświadomiło mi, że kiedy podchodzi się do drugiego człowieka z otwartością i respektem, wiele rzeczy naprawdę przestaje mieć znaczenie. Wtedy można przeżyć wartościowy czas, zainspirować się nawzajem i po prostu być razem, tu i teraz.





Szacunek jest kluczem do każdej relacji międzyludzkiej, otwiera drzwi do rozmów, które wywołują śmiech, dają ciepło w sercu i sprawiają, że czujesz się akceptowany takim, jakim jesteś. I naprawdę, chciałabym, żeby w dzisiejszym świecie było tego więcej. Cieszę się, że właśnie w Portugalii mogłam tak mocno to dostrzec i poczuć.

CHWILE, KTÓRE ZOSTAJĄ NA ZAWSZE

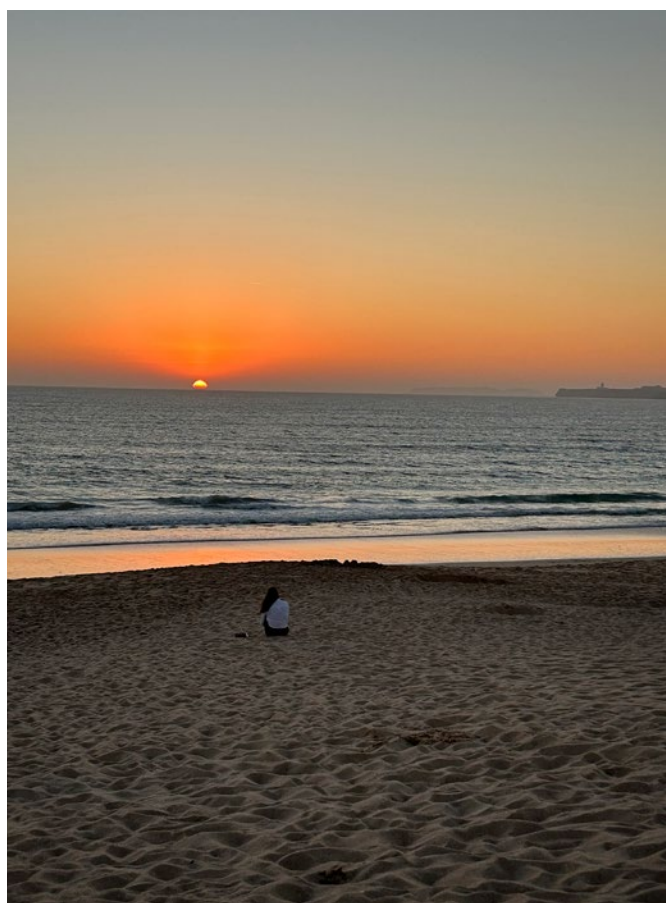
Całe to doświadczenie bez wątpienia należy do najpiękniejszych przeżyć mojego życia.

Dzisiejszy świat daje nam niesamowite możliwości i jako młody człowiek nie mogę być bardziej wdzięczna, że udało nam się tego doświadczyć. Wierzę, że każdy taki wyjazd otwiera nasze serca, czyni nas

lepszymi, prowadzi do osobistego rozwoju i uczy nas wiele o nas samych.

Dziękuję Ci, Portugalio. Dziękuję, że powieździeliśmy *tak* na to doświadczenie.

Dziękuję, że mamy takie możliwości, to nie jest sprawa oczywista. Z ogromną wdzięcznością będę przechowywać to przeżycie w moim sercu na zawsze.



FESTIWAL ŚREDNIOWIECZNY W ÓBIDOS, SPOSÓB NA PRZENIESIENIE SIĘ W PRZESZŁOŚĆ



TEKST I ZDJĘCIA: IZABELA ADÁMEK

Wielu turystów odwiedzających latem Portugalie skupia się głównie na takich miejscach jak Lizbona, Porto czy region Algarve – popularnych i z pewnością wartych zobaczenia. Jest jednak jedno miejsce, które rzadziej trafia na listy obowiązkowych atrakcji, a które zdecydowanie warto odwiedzić. Mowa o malowniczym miasteczku Óbidos, które latem za sprawą Festiwalu Średniowiecznego – Medieval Festival of Óbidos – na kilka dni zamienia się w średniowieczną osadę.

W ramach naszego wolontariatu w Portugalii, kiedy spędziliśmy miesiąc w tym kraju, mieliśmy okazję wspomniany festiwal odwiedzić. I jednoznacznie stwierdzam, że było to jedno z przeżyć, do których będę wracać pamięcią z ogromną przyjemnością.

Już od pierwszych kroków stawianych w mieście można było poczuć prawdziwą atmosferę średniowiecza, widoczną dosłownie wszędzie — od stoisk z rękodziełem, przez malownicze uliczki i średniowieczną muzykę, aż po spotkania z błaznami i rycerzami..

KOSTIUMY FESTIWALOWE

Na początku można było wypożyczyć strój. Nie wahaliśmy się ani przez chwilę i od razu zdecydowaliśmy się w pełni wejść w klimat wydarzenia. Po krótkim czasie spędzonym w wypożyczalni każdy z nas znalazł coś dla siebie. Już przebrani, czuliśmy się jeszcze bardziej podekscytowani wizytą na festiwalu. Zresztą prawie wszyscy uczestnicy pojawiali się w kostiumach, więc i my nie mogliśmy zrobić inaczej.

Wchodząc przez bramy festiwalu, trafia się od razu na teren przepięknego zamku. Sama lokalizacja buduje wyjątkowy nastrój, który festiwal dodatkowo podkreśla. Nam dopisało szczęście – trafiliśmy na



piękną pogodę i znaleźliśmy się na festiwalu podczas zachwycającego zachodu słońca, który mogliśmy podziwiać właśnie z zamkowych murów.

JEDZENIE I NAPOJE

Będąc na festiwalu, koniecznie trzeba spróbować jedzenia, które – podobnie jak wszystko inne – utrzymane jest w duchu średniowiecza. Potrawy są proste, ale bardzo smaczne. Przede wszystkim można tu było znaleźć dania z grilla, głównie mięsa, ale również sery. Nie brakowało też zup. Wszystko serwowane było w glinianych miskach, co dodatkowo podkreślało klimat epoki.

Nie brakuje również różnorodnych napojów, które – podobnie jak potrawy – serwowane są w autentycznych glinianych kubkach. Naczynia te można zabrać ze sobą z festiwalu jako pamiątkę. Wśród napojów znaleźć można na przykład popularną w krajach południowych sangrię czy najstarsze piwo, wynalezione przez Wikingów.

PROGRAM ARTYSTYCZNY

Niezapomnianą częścią festiwalu są występy artystyczne, które naprawdę zachwycają



swoim poziomem. Nie brakuje akrobatów, komedianów, a każde przedstawienie doskonale oddaje klimat wydarzenia. Wieczorami odbywa się również pokaz ognia – widowisko ogniowe, które robi ogromne wrażenie. Dla mnie osobiście był to chyba najciekawszy punkt programu, jaki mieliśmy okazję zobaczyć podczas całego festiwalu.

Na każdym rogu można usłyszeć różnorodną muzykę średniowieczną. Zazwyczaj nie ograniczało się to jedynie do zwykłego grania – występy były starannie przygotowane, często wzbogacone w choreografie,

które robiły ogromne wrażenie. Sam fakt, że muzycy świetnie się bawili podczas swoich występów, sprawiał, że uczestnicy festiwalu jeszcze chętniej zatrzymywali się by ich obejrzeć.

WIZYTA U ALCHEMIKA

Naszym ostatnim punktem programu, którym zakończyliśmy wieczór na festiwalu, była wizyta u alchemika. Okazała się ona świetnym zwieńczeniem całego dnia. Spotkanie polegało na opowiedzeniu alchemiście o dolegliwościach zdrowotnych, które nam doskwierają. Na podstawie tych informacji przygotowywał dla każdego „eliksir uzdrawiający”, który trzeba było wypić w dość nietypowy, zabawny sposób.

Najpierw należało napełnić usta miksturą, następnie alchemik potrząsał naszą głową, krzycząc przy tym różne magiczne zaklęcia, a dopiero potem można było eliksir połknąć. Całe doświadczenie było nie tylko oryginalne, ale i bardzo zabawne – idealne zakończenie pełnego wrażeń wieczoru.

Cały wieczór okazał się wyjątkowym i naprawdę niezapomnianym doświadczeniem, które poleciłabym każdemu, kto odwiedzi Portugalię w lipcu. Warto wybrać się na festiwal i przeżyć to na własnej skórze.



HENRYK MIKOŁAJ GÓRECKI

WSPOMNIENIE W 15. ROCZNICĘ ŚMIERCI I REFLEKSJA O MOTYWIE MATKI W JEGO TWÓRCZOŚCI

TEKST: KAROLINA PUKOWIEC

Był kompozytorem, pedagogiem, rektorem Państwowej Wyższej Szkoły Muzycznej w Katowicach, a niekiedy brał także udział w prawykonaniach swoich dzieł jako dyrygent. Ślăzak z urodzenia, miłośnik Tatr i znawca góralskiej kultury. Był bezkompromisowy, uparty i niezwykle pracowity. Gdy go zabrakło pisano: *Odszedł Wielki Kompozytor i niezwykle Człowiek...* W tym roku mija 15. rocznica śmierci Henryka Mikołaja Góreckiego (6.12.1933 – 12.11.2010).

Aż trudno uwierzyć, że ten jeden z najwybitniejszych kompozytorów w dziejach muzyki polskiej i światowej miał zostać kolejczarzem lub górnikiem. Takie plany na życie mieli pewnie również inni chłopcy z Rydułtów i Czernicy, niewielkich miejscowości nieopodal Rybnika, gdzie dorastał Górecki. To, co go wyróżniało, to talent muzyczny. Podobno odziedziczył go po matce, Otylii, która zajmowała się domem i często grywała na pianinie. Jej nagła śmierć w dniu drugich urodzin Henryka Mikołaja przerwała ich spokojne życie rodzinne. Górecka miała wówczas zaledwie 26 lat, a tymczasem mija 90. rocznica tych tragicznych wydarzeń.

Według muzykologów zajmujących się życiem i twórczością Henryka Mikołaja Góreckiego, pozbawienie relacji matka-dziecko oraz czułości i opieki najbliższej mu osoby nasiliło u Góreckiego poczucie braku bezpieczeństwa, jak również w wielkiej mierze zdeterminowało jego osobowość. Sam kompozytor zdawał sobie sprawę, że to bolesne doświadczenie miało wpływ na jego wykształcenie, o czym wspominał na łamach czasopisma „Vivo” w 1994 roku w następujący sposób: *Moja mama grała na fortepianie, ale umarła w wieku 26 lat [...]. i wtedy skończyła się na długo moja edukacja muzyczna.*

Ojciec Henryka, Roman, wraz ze swoją drugą żoną stanowczo zabraniali synowi zajmowania się muzyką. Młody Henryk nie



mógł nawet dotykać pianina matki. W końcu, po usilnych prośbach, Roman wystął syna na lekcje do miejscowego muzyka, gdzie uczył się gry na skrzypcach. Później, już po zdanej maturze, dostał się do prywatnej szkoły muzycznej braci Szafranków w Rybniku, a w 1955 roku, rozpoczął studia kompozytorskie u Bolesława Szabelskiego w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej w Katowicach (wówczas był to Stalinogród).

Pomimo wcześniejszych trudności w zdobywaniu wiedzy i umiejętności muzycznych, kariera Góreckiego rozwijała się szybko. Jego pierwszy, istotny sukces muzyczny – wystąpienie w 1958 roku na największym festiwalu muzyki współczesnej *Warszawska Jesień* – związany był z zaprezentowaniem *Epitafium op. 12* na chór mieszany i zespół instrumentalny. Ten jednoczęściowy, niespełna pięciominutowy utwór do tekstu Juliana Tuwima otworzył Góreckiemu drogę do sławy, z miejsca plasując go w czołówce najbardziej awangardowych polskich twórców końca lat 50.

W dorobku twórczym Góreckiego pierwszy opus stanowią Cztery preludia na fortepian solo z 1955 roku, zaś ostatni to IV Symfonia *Tansman Epizody op. 86* na fortepian, organy obbligate i orkiestrę symfoniczną – utwór pozostawiony przez kompozytora w wersji skróconej partytury, dokończony przez syna kompozytora, Mikołaja Góreckiego (*1971). Jeśli przyjrzeć się temu co było *pomiędzy*, to zauważamy, że twórczość Henryka Mikołaja Góreckiego obejmuje zarówno utwory fortepianowe i kameralne, jak i symfoniczne czy chóralskie, a także muzykę do filmów i spektakli teatralnych.

Znaczna część jego twórczości, nie tylko tej z nurtu muzyki sakralnej, prześiąknięta jest duchowością. Artysta skromnie przyznawał: *dla mnie muzyka jest rezultatem religijnej koncentracji i medytacji... Zobaczyć czystą wodę, zieloną ziemię, zdrowe lasy, odetchnąć czystym powietrzem. Widzieć Stwórcę wszystkiego – i Jemu pisać*. Dzieła te wciąż są chętnie grywane przez muzyków w kraju i za granicą.

To, co w sposób szczególny zwraca uwagę, to powracający w twórczości Góreckiego

motyw matki. Ujawnia się on zarówno w dedykacjach utworów czy wyborze tekstów, a także jako nawiązania do kultu Matki Bożej oraz motywów kołysankowych, kojarzonych z matczyną formą muzyki.

Kompozytor zadedykował Otylii Góreckiej dwa swoje dzieła: *Trzy pieśni op. 3* na głos średni i fortepian (1956) oraz *Ad Matrem* na wielką orkiestrę symfoniczną, chór oraz sopran solo (1971).

W *Trzech pieśniach op. 3* Górecki wykorzystał utwory Juliana Tuwima oraz Juliusza Słowackiego. Tego drugiego uważał za najwybitniejszego polskiego poetę epoki romantyzmu. Cykl ten Górecki opatrzył dedykacją *Pamięci kochanej mojej Matki*. Stąd jasny wydaje się również wybór wierszy Słowackiego – poety, który w swojej twórczości wielokrotnie podejmował temat matki, za którą tęsknił i która – zostawszy w ojczyźnie – cierpiała z powodu nieobecności syna będącego na emigracji. Wiersze Słowackiego, stanowiące warstwę literacką dwóch pierwszych pieśni opusu 3 (*Do matki* i *Jakiż to dzwon grobowy*), dotyczą spraw najbliższych kompozytorowi, osobistych tragedii, jego najstraszniejszych i najgłębszych przeżyć.

Drugi z utworów dedykowanych Otylii to dzieło zatytułowane *Ad Matrem (Do Matki)* op. 29, przeznaczone na sopran solo, chór mieszany i orkiestrę (1971). W opinii badaczy muzyki kompozytora to właśnie od tego utworu rozpoczyna się twórczość religijna Góreckiego. Tutaj po raz pierwszy Górecki sięgnął po treść religijną, w której to głównym punktem odniesienia jest Najświętsza Maria Panna. Wybór tekstu zaczerpniętego z pierwszej strofy sekwencji *Stabat Mater* oraz poświęcenie dzieła: *Pamięci mojej matki*, w oczywisty sposób rzutują na charakter dzieła, na jego uduchowiony i silnie emocjonalny wyraz.

Ad Matrem jest również spektakularnym przykładem szyfrowania w utworze ważnych dla kompozytora liczb: dat związanych z narodzinami (17.12.1909) i śmiercią (6.12.1935) jego matki, Otylii Góreckiej.

Symbolika liczbowa fascynowała go bowiem od lat młodości, czego wyraz dał w wielu utworach na wiele różnych

sposobów¹⁾, m.in. w *Genesis I: Elementi per tre archi* op. 19 czy w *Beatus Vir* op. 38.

W *Ad Matrem* kompozytor na przestrzeni całego dzieła, w każdym numerze partytury, zaszyfrował szczególne cyfry i liczby, np. poprzez metrum lub ilość taktów danego odcinka. Należy więc zaznaczyć, że nie tylko dedykacja oraz tytuł utworu i jego tekst odnoszą się do przedwcześnie zmarłej matki Góreckiego, lecz cała struktura kompozycji jest zbudowana na numerycznej bazie związanej z życiem Otylii.

6 ► 6 grudnia – dzień urodzin Henryka Mikołaja Góreckiego i śmierci Otylii Góreckiej

9 ► 1909 – rok urodzenia O. Góreckiej

12 ► grudzień (dwunasty miesiąc) – miesiąc urodzin O. Góreckiej i H. M. Góreckiego, również miesiąc śmierci O. Góreckiej

17 ► 17 grudnia – dzień urodzin O. Góreckiej

26 ► 26 lat miała O. Górecka, gdy zmarła

33 ► 1933 – rok urodzenia H. M. Góreckiego

35 ► 1935 – rok śmierci O. Góreckiej

W całej twórczości Góreckiego obecna jest także tematyka maryjna.

Zagłębianie się w tę dziedzinę jest wyrazem nieprzejdanej postawy religijnej Góreckiego, która w kontekście jego trudnej biografii nabiera szczególnego znaczenia. Zauważalna tęsknota za doświadczeniem bliskości matki może być bowiem tłumaczona tak silnym przywiązaniem Góreckiego do Maryi, która tę matkę ziemską miała mu niejako zastępować.

Spośród wszystkich utworów, jedynie teksty dwóch pieśni z opusu 3 są kierowane wyłącznie do matki ludzkiej. Pozostałe dzieła wokalne i wokально-instrumentalne: począwszy od *Ad Matrem*, przez *Symfonię pieśni żałobnych*, pieśni poświęcone Maryi, aż do *Totus Tuus*, warstwą tekstową związane są z motywem Matki Bożej. Kompozycje te zachowują prostotę słów, a naturalny rys melodii uszlachetniony jest harmonią oraz specyficznym efektem powtarzalności, typowej dla stylu Góreckiego.

Mimo, iż Henryka Mikołaja Góreckiego nie ma już wśród nas, warto wspomnieć, że jego postać wciąż jest obecna nie tylko za

1) Oprócz liczb w niektórych utworach Górecki dla tworzenia motywów i tematów wykorzystywał także „muzyczne” litery. Przykładem jest kompozycja „Recitativa i ariosa *Lerchenmusik*” op. 53 na klarnet, wiolonczelę i fortepian (1984-86), gdzie tematy wywodzą się z liter nazwiska osoby zamawiającej utwór, Luise Lerche-Lerchenborg (są to dźwięki *e-c-h* i *b-g*).



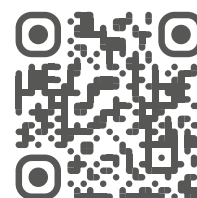
słuchaczy i wykonawców. Z jednej strony urzeka prostotą, z drugiej imponuje głębią emocji i duchowym ładunkiem. To, co w życiu kompozytora było stratą, w jego twórczości stało się źródłem autentycznego wyrazu i niepowtarzalnego języka artystycznego.

Motyw matki, przewijający się przez wiele utworów Góreckiego, nie jest jedynie osobistym wspomnieniem. Z czasem staje się uniwersalnym symbolem miłości, czułości, duchowego bezpieczeństwa, ale też nieobecności i żalu.

Dziś, poprzez koncerty, festiwale i kolejne wykonania jego dzieł, pamięć o Góreckim trwa, a jego muzyka niezmiennie fascynuje słuchaczy na całym świecie. Wciąż przypomina, że sztuka może rodzić się z bólu, ale niosąc w sobie prawdę i głębię, potrafi w piękny sposób oddziaływać na swych odbiorców, jednoczyć i trwać – jak modlitwa, jak matczyna obecność, nawet jeśli tylko wyśniona.



**Z nami nic Ci
nie umknie!**



zwrot • cz /newsletter/

**Polskie informacje z Zaolzia
dwa razy w tygodniu
w Twojej skrzynce mailowej**

sprawą wykonywanych dzieł, ale także dzięki kilku festiwalom, którym kompozytor patronuje. Już wkrótce odbędą się dwa tego typu wydarzenia.

Pierwsze z nich to Festiwal Kompozytorów Polskich, odbywający się od 1996 roku w Bielsku-Białej. Od samego początku jego patronem był Henryk Mikołaj Górecki, zaś w 2010 roku festiwalowi nadano jego imię. To tam w 2005 roku doszło do światowego prawykonania III Kwartetu smyczkowego *Pieśni śpiewają* Góreckiego przez Kronos Quartet.

Tegoroczne wydarzenia, na które składają się koncerty, koncerty edukacyjne, a nawet pokaz filmu, zaplanowano na 9–11 października. Wśród wykonawców znajdą się m.in. Andrzej Jagodziński z zespołem, Cavatina Philharmonic Orchestra pod dyktando Ewy Strusińskiej, Orkiestra Polskiego Radia w Warszawie pod dyktando

Michała Klauzy, a także uczniowie Zespołu Państwowych Szkół Muzycznych im. Stanisława Moniuszki w Bielsku-Białej.

Z kolei w rodzinnych stronach kompozytora organizowany jest Międzynarodowy Festiwal Rybnicka Jesień Chóralna im. Henryka Mikołaja Góreckiego. Historia tego festiwalu, odbywającego się co roku w listopadzie, w dniach poprzedzających rocznicę śmierci Góreckiego, sięga 2005 roku. Wówczas zwycięzcą pierwszej edycji konkursu chóralnego został zespół *Canticum Novum* z Czeskiego Cieszyna, wciąż działający z powodzeniem w świecie chóralnym. Już za kilka tygodni w tegorocznej edycji festiwalu zmierzają się kolejne zespoły z kraju i zagranicy. Być może w ich wykonaniu będzie można usłyszeć którąś z chóralnych pieśni patrona.

Piętnaście lat po śmierci Henryka Mikołaja Góreckiego jego muzyka wciąż porusza



Na spacer po Nawsiu zabrat mnie Jan Heczko – prezes MK PZKO Nawsie (fot. 3).

[3] Jan Heczko przed Domem PZKO. ▲

SPACERY ZWROTU Z PREZESAMI MIEJSCOWYCH KÓŁ PZKO:

NAWSIE

TEKST I ZDJĘCIA: BEATA INDI TYRNA



Spacer zaczynamy przy dworcu kolejowym w Nawsiu. Najwygodniej jest więc dojechać pociągiem. Jeśli jednak ktoś koniecznie chce przyjechać samochodem, to także nie ma problemu. Trasa spaceru zaczyna się bowiem i kończy w tym samym miejscu, a samochód można pozostawić przy dworcu.

– Jednak w dni robocze może być problem ze znalezieniem miejsca, bo ludzie jeżdżą do

pracy pociągiem, a samochód zostawiają przy dworcu – uprzedza mój przewodnik.

DAWNIEJ PIEKARNIA, DZIŚ DOM OPIEKI SPOŁECZNEJ

Po wyjściu z dworca przechodzimy na drugą stronę jezdni. Przed sobą mamy Dom Opieki Społecznej (fot. 1). – Jest to jeden z najstarszych budynków w Nawsiu, dawna

piekarnia. Funkcjonowała ona tutaj jeszcze w latach 90. ubiegłego wieku – wyjaśnia mój przewodnik. – Tartak, piekarnia i gospoda to były trzy takie znaczące, potrzebne miejsca we wsi – dodaje.

DWORZEC KOLEJOWY

Nim skręcimy w lewo, w górę, za znakami żółtego szlaku turystycznego prowadzące-

[1] Budynek dawnej piekarni, obecnie Dom Opieki Społecznej

[2] Dworzec kolejowy





[4] Napis „Byliśmy, jesteśmy, będziemy” nad sceną w Domu PZKO



[5] Kryjąca w sobie gablotę ściana w Domu PZKO

go na Filipkę, odwracamy się, by spojrzeć na dworzec kolejowy (fot. 2). Mój przewodnik podpowiada, że właśnie z tego miejsca budynek prezentuje się najokazalej.

DOM PZKO

Idziemy w górę asfaltową drogą pomiędzy domami rodzinnymi, którą prowadzi żółty szlak na Filipkę. Po niespełna 200 metrach dochodzimy do Domu PZKO (fot. 3). Budynek jest siedzibą Miejskowego Koła PZKO od roku 1984. Prezes zapowiada, że koło dawnej siedziby ich koła będziemy przechodzili w dalszej części naszego spaceru.

Wchodzimy do środka. Pierwsze, co rzuca się w oczy nad pustą sceną to motto: „Byliśmy, jesteśmy, będziemy” (fot. 4). A ściana na wprost drzwi wejściowych do sali kryje w sobie tajemnicę. Prezes MK PZKO odkrywa ją otwierając ukrytą w ścianie gablotę (fot. 5). Mieści się w niej mini izba pamięci Władysława Niedoby znanego w regionie jako Jura spod Gronia (fot. 6).

Po wyjściu z Domu PZKO idziemy jeszcze kawałek w górę, w stronę Filipki. Tylko po to, by zobaczyć przepiękne widoki na góry, którymi, jak na lokalnego patriotę przystało, zachwycą się mój przewodnik.



[6] Mini izba pamięci Władysława Niedoby znanego w regionie jako Jura spod Gronia

– *Gdzież jest piękniej, niż w górach?* – zapytuje retorycznie Jan Heczko. – *Widać stąd Kozubową, Ostry, tam dalej Jaworowy. Gdybyśmy chcieli przejść całe Nawsie, to musielibyśmy chodzić ze dwa dni. Nawsie sięga bowiem w tamtą stronę aż pod samo schronisko na Kozubowej, a w drugą stronę do Filipki* – wyjaśnia.

Zauważa też, że o ile zaraz po wybudowaniu obwodnicy i odgradzających od niej ekranów dźwiękochłonnych były one bardzo widoczne w krajobrazie, to obecnie, po kilku już latach, zarosły nieco zielenią i nie rzucają się już tak bardzo w oczy. A obwodnica była bardzo potrzebna.

[7] Widok znad Domu PZKO



[8] Prowadząca w okolicy dworców wzdłuż głównej drogi droga boczna





[9] Budynek Urzędu Gminy



[10] Pomnik ofiar II wojny światowej

WZDŁUŻ GŁÓWNEJ DROGI

Po nacieszeniu oczu widokami (jak zapewnia mój przewodnik najpiękniejszymi na świecie) (fot. 7) wracamy. Gdy dojdziemy do głównej drogi przez Nawsie skręcamy w lewo w wąską drogę wewnętrzną biegnącą wzdłuż drogi, w tym miejscu dużo wyżej, aniżeli droga główna (fot. 8). Po prawej stronie widzimy dworzec autobusowy. Po lewej stronie z kolei mijamy nieczynny już obecnie sklep z artykułami żelaznymi, który – jak wyjaśnia mój przewodnik – był pierwszym tego typu sklepem w Nawsiu.

Kolejnym obiektem po lewej stronie jest budynek Urzędu Gminy (fot. 9). – *Poprzednio w budynku tym był hotel i gospoda* – informuje mój przewodnik. Patrząc na elewację budynku urzędu rozmawiamy o tym, że w Nawsiu funkcjonuje urzędowa dwujęzyczność, a procent zadeklarowanych Polaków wynosi 19,07%.

Tuż obok gminy znajduje się czeska szkoła podstawowa. Stoi przed nią, jako że jest tak zwana „masarykówką”, pomnik T. G. Masaryka, a także pomnik ofiar II wojny światowej (fot. 10). Jak wyjaśnia mój przewodnik, hitlerowski okupant powiesił w tym miejscu podczas pokazowej egzekucji pięciu przywiezionych tutaj – nie miejscowych – Polaków.

HALA SPORTOWA

Minąwszy szkołę skręcamy w lewo, w górę. Idziemy obejrzeć nową halę sportową (fot. 11) i usytuowany przy niej kompleks z placem zabaw i siłownią na świeżym powietrzu (fot. 12). – W hali sportowej funkcjonują kluby tenisa stołowego, piłki nożnej i unihokeja.

Obok hali wybudowano kompleks rekreacyjny z siłownią plenerową, strefą dla młodzieży i placem zabaw dla dzieci, co z pewnością zainteresuje wybierających się na spacer z maluchami. Jak informuje mój przewodnik, w budynku hali sportowej brak natomiast bufetu.



[11] Hala sportowa

ZNÓW WZDŁUŻ GŁÓWNEJ DROGI

Spod hali sportowej wracamy znów do drogi głównej i skręcamy w lewo. – *Tutaj kiedyś była kuźnia, w której pracował prawdziwy kowal, taki, który potrafił podkuwać konie. Jak wracaliśmy tędy jako dzieci ze szkoły, to chodziliśmy się patrzeć, jak się podkuwa konie* – wspomina mój przewodnik.

– *A tu jest gospoda U Mrózka, jedna z najstarszych gospód w Nawsiu* (fot. 13). *Aktualnie jest w remoncie, ale otwarta, normalnie można wypić piwo i zjeść obiad.*

[12] Boisko przy hali sportowej



[13] Gospoda u Mrózka





[14] Krzyż z polskojęzycznym napisem „któryś za nas cierpiat rany Jezu Chryste zmiłuj się nad nami”



[15] Głaz

TAJEMNICZY GŁAZ

Tuż za krzyżem z polskojęzycznym napisem *Któryś za nas cierpiat rany Jezu Chryste zmiłuj się nad nami* (fot. 14) skręcamy w lewo. Po lewej stronie drogi, na skwerku, ustawiono tajemniczo wyglądający Głaz (fot. 15). Mój przewodnik opowiada historię z kamieniem tym związaną. Wyjaśnia, że głaz ani nie oznacza nic szczególnego, ani też nie znalazł się tu z żadnego konkretnego powodu.

CMENTARZ

Idziemy dalej wąską, asfaltową drogą (oczywiście znów pod górkę) nieco ponad 100 metrów, po czym wchodzimy na cmentarz. – *Ten budynek po lewej, to stara „marownia” (kostnica).* Tam dalej, po prawej stronie, wybudowano nową „marownię” – Heczko zaczyna oprowadzać mnie po cmentarzu. Nim przechodzi do nagrobków znanych nawsiańskich osobistości zatrzymuje się przed grobem swych przodków (fot. 16). – *Mój „starzik” nazywał się*

Jan Niedoba. A Helena Niedobowa była z domu Sikorowa. Jan Niedoba – brat Jury spod Gronia był moim dziadkiem. Bratem mojej babci – Heleny Niedobowej-Sikorowej z Grzybków był Paweł Sikora – doktor archeolog z Uniwersytetu Jagiellońskiego – przybliża swe rodzinne koligacje Jan Heczko.

Następnie odwiedzamy kolejno groby Władysława Niedoby (fot. 17) i Władysława Młynka (fot. 18). Nim opuścimy cmentarz, delektujemy się pięknymi widokami na góry (fot. 19).

[16] Jan Heczko przy grobie swych przodków
[18] Grób Władysława Młynka ▼ ▼

[17] Grób Władysława Niedoby
[19] Widok z cmentarza ▼ ▼





[20] Potok Kostków



[21] Miejsce w którym jeszcze 3 lata temu znajdował się ośrodek rekreacyjny

PIERWSZY BASEN W NAWSIU I OŚRODEK WYPOCZYNKOWY

Tuż poniżej cmentarza skręcamy w lewo, by za cmentarzem skręcić znów w lewo, w kolejną wiodącą w górę drogę. Idziemy wzdłuż potoku Kostków (fot. 20), pomiędzy zabudową domów rodzinnych. – *Tutaj jeszcze kilka lat temu był duży ośrodek – mój przewodnik wskazuje na pusty plac z kupką gruzu (fot. 21).* – *Była tam gospoda, pokoje hotelowe, było przy nim boisko i plac zabaw dla dzieci. Tutaj też był pierwszy basen w Nawsiu – na tym potoku Kostków, więc woda w lecie miała tam maksymalnie 15 stopni. Ja tu akurat nie chodziłem, bo mieszkalem w innej części Nawsia – mówi mój przewodnik. I dodaje, że nie ma pojęcia, dlaczego tętniący życiem, funkcjonujący do niedawna obiekt rozebrano.*

PRYWATNE MINI OBSERWATORIUM ASTRONOMICZNE

Idziemy jeszcze kawałek w górę, do stawu rybnego (fot. 22), po czym zawracamy i schodzimy w dół, z powrotem do drogi głównej. Po drodze mijamy nie lada atrakcję – prywatne mini obserwatorium astro-

nomiczne. Obiekt jest schowany za drzewami, koło domu prywatnego, a zwiedzać go można po wcześniejszym umówieniu się z właścicielem. Mój przewodnik wyjaśnia, że wybudował go przy swym domu szef obserwatorium astronomicznego w Trzynie.

PO DRUGIEJ STRONIE TORÓW

Schodzimy z powrotem do drogi głównej. Skręcamy w prawo, jakby wracając. Jednak po chwili przechodzimy na drugą stronę jezdni. – *Trudno sobie wyobrazić, jak chodziło się tutaj wcześniej, nim wybudowano obwodnicę i jeździły tędy te wszystkie TIR-y...* – zastanawia się mój przewodnik, gdy oczekujemy na możliwość przejścia przez jezdnię.

Przechodzimy pod torami (fot. 23). Wychoodzimy prosto na przystanek autobusowy Nawsie, przy podjeździe. Jeżdżą tędy autobusy do Milikowa.

KOŚCIÓŁ I SZKOŁA

Niebawem po prawej stronie widzimy kościół ewangelicki (fot. 24) i stojący obok budynek, w którym funkcjonowała pierwsza szko-



[24] Kościół

[22] Staw rybny



[23] Przejście pod torami





[26] Murek okalający częściowo teren kościoła



[27] Brama na teren kościoła



[25] Pierwsza szkoła ewangelicka w Nawsiu

ła ewangelicka w Nawsiu (fot. 25). – Naukę w ewangelickiej szkole w Nawsiu, którą urządzono w domu wójta, rozpoczęto w 1784 roku. Dzieci katolickie nadal mogły uczęszczać do szkoły w Jabłonkowie. Siedem lat po założeniu szkoły, w 1791 roku, została przeniesiona

do nowego, drewnianego budynku na terenie przynależącym do domu modlitwy, a 17 lat później szkoła miała już murowany budynek. Pod koniec lat 60. XIX wieku zbór ewangelicki został zwolniony z tożenienia na szkołę, a kwestie finansowe i administracyjne przejęła

gmina. Od 1870 roku szkoła stała się placówką publiczną dla dzieci w wieku od sześciu do czternastu lat bez względu na wyznanie. Kiedy w 1886 roku gmina wybudowała nową reprezentacyjną szkołę, która bardziej odpowiadała potrzebom zwiększającej się liczby uczniów, stary budynek posłużył do innych celów. W latach 90. XX wieku budynek został całkowicie przebudowany i powstały w nim pomieszczenia mieszkalne. Obecnie jest siedzibą zboru Emaus, który uroczystie otwarto w sierpniu 1998 roku. Natomiast należący do gminy budynek z 1886 roku pozostał budynkiem szkolnym do dzisiaj – mój przewodnik cytuję z grubej książki Nawsie autorstwa Zuzany Mikulovej.

Bardzo ważnym zabytkiem w Nawsiu jest kościół ewangelicki, przy którym właśnie stoimy (fot. 24). Jak wyjaśnia mój przewodnik, budynek z lat 1817–1820 zastąpił starszą kaplicę modlitewną.

Mijając okalający częściowo teren kościoła mur (fot. 26) i przechodząc przez bramę (fot. 27) wychodzimy niemal wprost na znajdujące się po lewej stronie boisko (fot. 28) przy polskiej szkole (fot. 29). – Kiedyś było tu boisko szkolne. Obecnie jest to gminny teren rekreacyjny – wyjaśnia mój przewodnik.

[28] Boisko



[29] Polska szkoła





[30] Łąka, na której był tartak – pierwsza zabudowa w Nawsiu



[31] Gospoda, w której wigilię 1914 roku spędził Józef Piłsudski

TARTAK

Za szkołą skręcamy w lewo, po czym ponownie w lewo, w ulicę Kasztanową. W tej części Nawsia ulice mają swoje nazwy, czego nie było w części miejscowości leżącej po tamtej stronie torów kolejowych. Mijamy starą remizę straży pożarnej po lewej oraz nową po prawej stronie drogi. My idziemy na wprost, na łąkę. – *W tym miejscu był tartak. Był to pierwszy taki obiekt w Nawsiu* – wyjaśnia mój przewodnik wskazując na łąkę.

– *Tutaj z kolei planowane jest dojście z drugiej strony do tego terenu rekreacyjnego przy kościele* – wyjaśnia Heczko, gdy idziemy dalej.

GOSPODA, W KTÓREJ PAMIĘTNĄ WIGILIĘ SPĘDZIŁ PIŁSUDSKI

Droga prowadzi nas wprost na gospodę (fot. 31). Dowiaduję się, że to właśnie tutaj pamiętną, opisywaną w różnych źródłach wojenną wigilię 1914 roku spędził Józef Piłsudski.

Prezesowi MK PZKO obiekt ten kojarzy się nie tylko z tymi przekazami historycznymi. – *Była w niej duża sala. Funkcjonował więc*

w niej pierwszy teatr amatorski w Nawsiu. Ja też jako dziecko grałem tam w przedstawieniach teatralnych – wspomina.

PIERWSZY DOM PZKO

Zaraz za gospodą skręcamy w lewo, a po kilku krokach znów w lewo. – *W tym drewnianym budynku (fot. 32) mieścił się Urząd Gminy po tym, kiedy Nawsie się usamodzielniało jako odrębna gmina* – wyjaśnia Heczko. – *A tutaj był nasz pierwszy Dom PZKO* – wskazuje na następny budynek (fot. 33).

– *Wtedy był tutaj większy teren wokół, łąka. Odbываły się tutaj także festyny. A naprzeciwko był sklep, w którym całe życie pracowała moja mama* – wspomina.

„ZAMCZYSKA”

Dalej mijamy teren, na którym dawniej był tartak, obecne boisko piłkarskie i jego zaplecze, po czym przechodzimy mostem na drugą stronę rzeki Olzy (fot. 34). Skręcamy w drogę w lewo, a po chwili w prawo, w ścieżkę prowadzącą pod górkę do lasu.



[34] Most przez Olzę

[32] Tu mieścił się Urząd Gminy po usamodzielnieniu się Nawsia jako odrębnej gminy



[33] Pierwszy Dom PZKO





[35] „Zamczyska”

– Mówi się na to miejsce „Zamczyska” (fot. 35). Podobno był tutaj drewniany gród obronny, który pilnował drogi miedzianego szlaku wiodącego na Słowację. Kiedy chodziłem do szkoły, w latach 70., urwało się tutaj to zbocze i pokazało się wejście. Nie wiem, czy były tam prowadzone jakieś badania. Jako chłopcy zaglądaliśmy tam, ale nie weszliśmy zbyt głęboko, bo się baliśmy – wspomina mój przewodnik.

Wspominając czasy nieco późniejsze, kiedy już działał w PZKO, przywołuje organizowane tu jajecznice MK PZKO i jeden z festynów.

[37] Wędrujemy skrajem lasu i pola

[38] Staw ▼ ▼



[36] „Zamczyska”

STAWY

Z terenu dawnego grodu (fot. 36) schodzimy na drugą stronę, wprost na częściowo już skoszone pole kukurydzy. Dalej wędrujemy skrajem lasu i pola (fot. 37) aż do miejsca, w którym skręcamy w prawo w ledwo widoczną ścieżkę do lasu. Po chwili oczom naszym ukazuje się spory staw (fot. 38), a właściwie dwa stawy. Tyle, że, jak wyjaśnia mój przewodnik, o ile w tym po lewej stronie jest woda, to ten po prawej (fot. 39) stawem być przestał około 10 lat temu na skutek przerwania tworzącej go tamy.

[39] Drugi staw, z którego na skutek przerwania tamy około 10 lat temu „ucieka” woda

[40] Hala prywatnej obecnie firmy rolniczej ▼ ▼



BYŁA SPÓŁDZIELNIA, DZIŚ FIRMA PRYWATNA

Mijamy staw, dochodzimy do drogi i skręcamy w nią w lewo. Idziemy wzdłuż potoku Jasieni. – *Zabudowania po lewej stronie to hala dawnej spółdzielni rolnej obecnie prywatnej firmy rolniczej (fot. 40). Jest to taki duży moloch, który istniał już w minionych czasach, później został sprywatyzowany. Chodzi o ogromny zakład. Byliśmy tutaj raz na ekskursji z PZKO. Zazwyczaj kiedy chodzimy na wycieczki, to poznajemy, jak się warzy piwo, ale nikt z nas nie widział, jak powstaje*



[41] Widok na pasmo Kozubowej

mleko, więc zaplanowaliśmy jedną z ekskursji właśnie tutaj – wyjaśnia mój przewodnik.

DOM JURY SPOD GRONIA

Przed rzeką Olzą skręcamy w lewo i natychmiast znów w prawo, by po kilkunastu krokach skręcić w prawo. Na lewo rozpościera się widok na pasmo Kozubowej (fot. 41). Tak dochodzimy do domu Jury spod Gronia (fot. 42). Idziemy dalej wąską asfaltową drogą, a gdy się kończy 200 metrów wzdłuż płotu okalającego domostwo na końcu ulicy.

BRZEGIEM OLZY

Gdy dochodzimy do drogi asfaltowej skręcamy w prawo. Po chwili jesteśmy na moście przez Olzę. Przechodzimy na drugą stronę, skręcamy w lewo i wędrujemy w pierw asfaltową ulicą pomiędzy domami, a następnie ścieżką przy samym brzegu rzeki. Tu i ówdzie na przeciwległym brzegu można poćwiczyć sobie geologię (fot. 43). – *A tutaj można się kąpać, jest wystarczająco głęboko by swobodnie popływać* – mój przewodnik wskazuje na sporych rozmiarów zbiornik na rzece (fot. 44). – *A tutaj*

jest prywatna elektrownia wodna – wskazuje na prawą stronę ścieżki (fot. 45).

NIŻNI KONIEC

Kolejnym mijanym obiektem jest oczyszczalnia ścieków. Zostawiamy ją po prawej stronie i skręcamy w lewo. Przed nami widać obwodnicę (fot. 46). Przechodzimy drogą lokalną wiodącą pod obwodnicą, skręcamy w prawo, a po chwili w lewo. Mijamy gospodę „Oaza” (fot. 47), przechodzimy mostkiem dla pieszych przez potok

[42] Dom Jury spod Gronia

[43] Brzeg rzeki Olzy ▼▼



[44] Dogodne do kąpieli miejsce na rzece Olzie

[45] Tutaj była prywatna elektrownia wodna ▼▼





[46] Obwodnica Nawsia i Jabłonkowa



[47] Gospoda „Oaza”

Rogowiec i wędrujemy pomiędzy domami rodzinnymi. Mijamy m.in. dom Karola Suszki i ledwo widoczny w oddali, zza drzew dom Władka Młynka.

Mój przewodnik wyjaśnia, że idziemy w stronę *Niżnego Końca*, jak miejscowi nazywają tę część Nawsia graniczącą z Gródkiem. Nie dochodzimy jednak do granicy miejscowości, gdyż później, by wrócić pod nawsiański dworzec, trzeba byłoby albo nadłożyć sporo drogi już na terenie Gródku, albo przechodzić przez obwodnicę w miejscu, w którym niejedna już osoba straciła życie. Na wysokości stacji benzynowej, w miejscu, w którym pod kołami samochodu zginęła Krystyna Suszka, decydujemy się skrócić w prawo jeszcze przed obwodnicą po czym idziemy wewnętrzną drogą wzdłuż odgradzających ją na tym odcinku od obwodnicy ekranów dźwiękochłonnych. – *Jest to bardzo niepraktyczne dla mieszkańców tej części Nawsia, że muszą nadkładać kilka kilometrów drogi, by bezpiecznie przejść do części Nawsia leżącej po drugiej stronie obwodnicy. Pisali nawet do zarządu dróg petycję o zrobienie tutaj przejścia pod lub nad obwodnicą, ale ich próśb nie uwzględniono* – mówi Nawsianin.

[48] Oczyszczalnia ścieków



Dochodzimy do drogi, którą już szliśmy, skręcamy w lewo przechodząc pod obwodnicą, a następnie w prawo na drogę gruntową. Ponownie przechodzimy przez ogródek gospody „Oaza” (fot. 47), mijamy po prawej stronie infrastrukturę oczyszczalni ścieków (fot. 48).

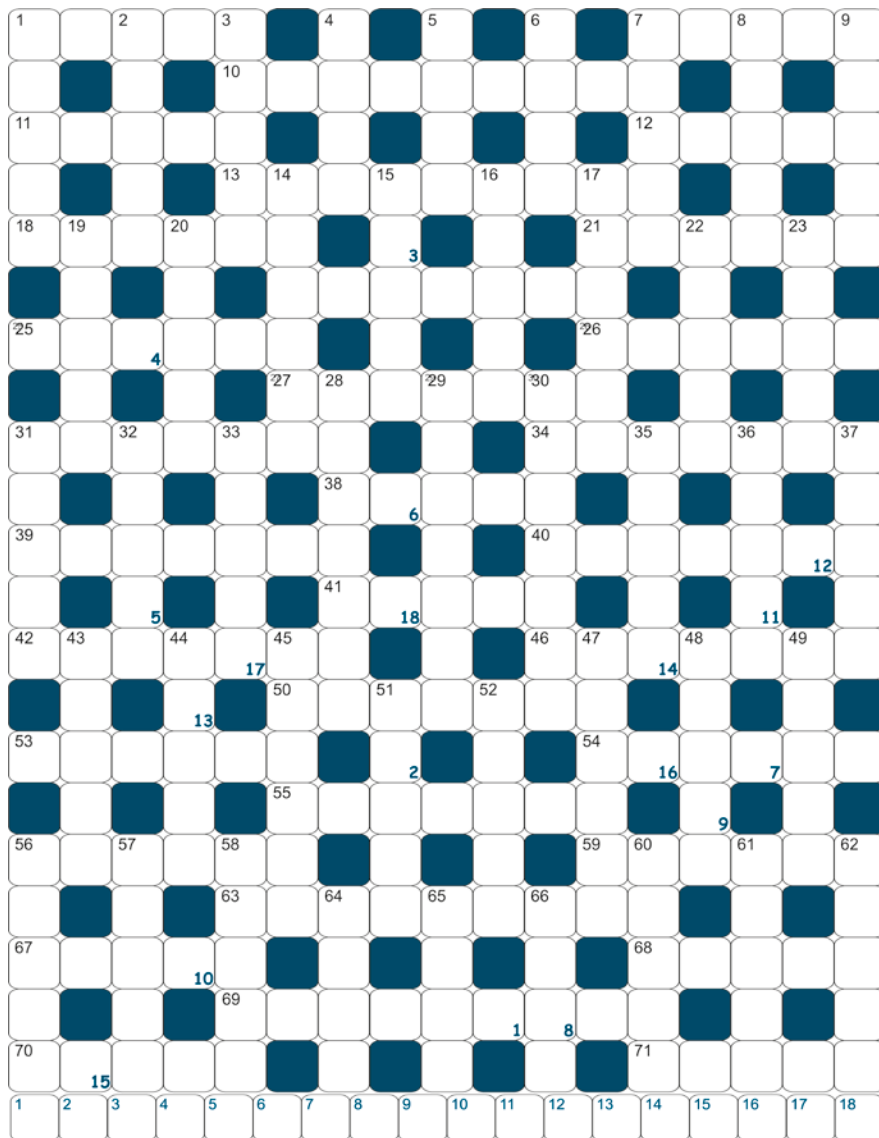
300 metrów od zbiorników oczyszczalni ścieków skręcamy w ścieżkę w lewo będącą skrótem do kolejnej drogi asfaltowej. Mijamy dom prezesa i pozostałą, gęstą w tym

miejsu zabudowę domów rodzinnych i szeregowych.

Po niecałych 200 metrach, gdy ulica Olśowa dochodzi prostopadle do ulicy Pod wytopnou, idziemy dalej prosto. Wchodzimy wprost do kanału pod torami (fot. 49), którym wychodzimy na drogę do Jabłonkowa. Skręcamy w prawo i po kilku metrach jesteśmy na dworcu w Nawsiu, gdzie zaczęliśmy nasz spacer. Za nami 13,5 km wędrowki.

[49] Kanał pod torami kolejowymi, którym można swobodnie przejść



**POZIOMO:**

1. szybszy od cwału
7. papieros domowej roboty
10. z pętłą na szyi
11. ławeczka na płozach
12. odznaczenie
13. przedpłata
18. lękotka
21. alkohol etylowy
24. bardzo silna trucizna
25. pospolicie o brzuchu
26. dramatyczny
27. niższa od gatunku
31. naturalny zbiornik wodny
34. napój chłodzący z utartych migdałów, cukru i wody
38. grany nowożeńcom
39. choinka
40. polna roślina zwana polną rutką
41. korytarz w teatrze
42. dobra klasztorne
46. kuzynka łasicy
50. niewielka beczułka
53. biblijne złote bóstwo
54. wioślarska osada
57. wyróżniona pierwsza litera tekstu
56. powinszowania od wnuka
59. niezbyt powszechne imię żeńskie
63. na pieniądze
67. w rękę brydzysty
68. broń terrorysty
69. postać z *Wesela*
70. młode drzewo miododajne
71. puls

PIONOWO:

1. odlewnik
2. cięgi
3. mały kundlek
4. grywał z Szarmachem
5. materiał opatrunkowy
6. bogini zwycięstwa
7. przegrał wyścig o biegun z Amundsenem
8. znany rzeźbiarz francuski
9. kraj związkowy w Austrii
14. nieznosny dzieciak
15. czynsz
16. pasja
17. napój bogów
19. bylina
20. cętki na nosie
22. opryszek
23. spożywany w środku dnia
28. telefon u drzewi
29. tarlak
30. część chrap
31. strawa
32. poufale do Zuzanny
33. zemsta
35. szelest liści
36. jeden z satelitów Urana
37. tango Grechuty
43. zakładka na spódnicę
44. bieli i truje
45. watowana kurtka
47. koliste ustawienie gałęzi liści
48. popularne imię żeńskie
49. pomieszczenie
51. maszyna do sortowania ziarna
52. krowie odchody
56. chodzi w liberii
57. wrzątek
58. przewisko
60. opust
61. miszmasz
62. brazylijski noblista
64. stan pogody
65. ściągą
66. stalowoszar metal

ROZWIĄZANIE DODATKOWE (*Dantes się mści*) / Opr. BIKI

Rozwiązanie dodatkowe prosimy przesyłać na adres pocztowy lub e-mail: info@zwrot.cz do **9 października 2025**.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 8/2025: Deszczowa piosenka.

Nagrodę, bono do Vinoteki Jakub, za nadesłanie poprawnego rozwiązania otrzymuje Alfred Lotter z Suchej Górnjej. Gratulujemy!



VINOTÉKA JAKUB

NAJLEPSZE WINA W CENTRUM CZESKIEGO CIESZYN

vinotekajakub.cz
Smetanova 1908/9
CZESKI CIESZYN

22-24 Delegacja Miejsowego Koła PZKO Bogumin-Skrzeczoń gościła w Grodkowie na zaproszenie Urzędu Miejskiego oraz Towarzystwa Miłośników Ziemi Grodkowskiej. Ośmioosobowej grupie przewodniczył prezes Koła, Czesław Gałuszka. Celem wizyty był udział w dorocznych Dożynkach Gminnych. Uczestnicy wzięli udział w kolacji z burmistrzem Miłosem Krokiem, mszy świętej polowej oraz dożynkach. Zwieńczeniem wizyty była wycieczka do Arboretum Wojsławice.

22-24 Miejsowe Koło PZKO w Olbrachcicach zorganizowało letnią wyprawę turystyczno-krajoznawczą, podczas której uczestnicy odwiedzili Sieradz, Russów, Gołuchów i Kalisz. W Sieradzu poznawali postacie takie jak Ary Sternfeld czy Antoni Cierplikowski, w Russowie zwiedzili dworowy park i ekspozycję etnograficzną, w Gołuchowie podziwiali zamek przebudowany na wzór zamków nad Loarą, zaś w Kaliszu zobaczyli takie zabytki jak ratusz, katedra św. Mikołaja i teatr, i zapoznali się z życiorysami Adama Asnyka, Marii Konopnickiej i Stefana Szloc-Rogozińskiego.

23 W Dołku w Koszarzyskach odbyła się druga edycja festiwalu *Rockowanie pod Gróniami*, podczas którego zaprezentowało się siedem zespołów z Zaolzia: B-27, Noemiracles, Glazy, Frog Smile, Mimosa, The Synks oraz Arzia. Wydarzenie, zorganizowane przez Klub Młodych MK PZKO Milików-Centrum, stworzyło młodym muzykom profesjonalne warunki sceniczne i zgromadziło liczną publiczność. Festiwalowi towarzyszyły rockowe specjały kulinarne i warsztaty muzyczne prowadzone przez Przemysława Orszulika.

23 Piosenkarka Krystyna Pękała, znana pod pseudonimem Rana, zaprezentowała w klubie *Dziupla* w Czeskim Cieszynie swój pierwszy album solowy. Artystka ze Stonawy przedstawiła materiał z albumu *Fixed Up and Mildly Stable*, śpiewając głównie po angielsku, z drobnymi wstawkami w języku czeskim. Jej twórczość wyróżnia szczerość i odwaga w podejmowaniu trudnych tematów, a inspiracją do powstania płyty była m.in. japońska sztuka *kintsugi*, dostrzegająca piękno w procesie naprawy. Album został nagrany w domowym studiu i wydany w formie cyfrowej.

23 W Nydku odbyła się XII edycja wydarzenia *Strziganie owiec* oraz *Majstrostwo Gorołi we strziganiu owiec*. Najlepszym okazał się Michał Staszowski, który ostrzygł owcę w 1 minutę i 7 sekund. Kolejne miejsca zajęli Martin Szmek junior i Marek Langer. Publiczność mogła spróbować regionalnych specjałów, obejrzeć pokaz strzyżenia około 200 owiec i wysłuchać koncertów m.in. Lubo Tatarki, zespołu *Trombitorze Łowczorze*, kapeli *Czerchla i Bezmiana*. Imprezie towarzyszyła także wystawa rzeźb Pawła Kufy i koronek Teresy Szotkowskiej. ▼



24 W Gutach odbyły się 57. Dożynki Śląskie, tradycyjnie zorganizowane przez Miejsowe Koło PZKO. Uroczystość rozpoczęła barwny korowód z zespołem tanecznym *Trzanowice* i orkiestrą dętą *Jablunkovanka*, a gospodarze imprezy — Ewa i Jiří Henslerowie — otrzymali od społeczności symboliczny wieniec dożynkowy i chleb upieczony z tegorocznych zbiorów. W części artystycznej wystąpił trzy zespoły: *Trzanowice*, *Suszanie* i *Bystrzyca*, prezentując folklor Śląska Cieszyńskiego, Beskidu Śląskiego, Górnego Śląska i ukraińskich Karpat.

26 W Trzyniecu odbył się finał *Trzyńskiego Lata Kulturalnego*. Program wydarzenia zakończył koncert zespołu *Arzia*, który zaprezentował m.in. utwory *Wciąż ci sami* czy *Szaleni*. Występ, który spotkał się z dużym zainteresowaniem publiczności, był ostatnim koncertem zespołu w tym sezonie.

30 Nawsie podziękowało za plony. Tegoroczne Dożynki cieszyły się dużym zainteresowaniem. Rozpoczęły się nabożeństwem w kościele ewangelickim, a następnie ulicami przejechał i przeszedł dożynkowy korowód. Główne uroczystości odbywały się w kompleksie za kościołem — nie zabrakło tam stoisk Miejsowego Koła PZKO czy Polskiej Szkoły Podstawowej w Nawsiu i tamtejszej Macierzy Szkolnej. Wystąpił chór *Melodia*, zespoły *Mały Koniaków* oraz *Kysučan* ze słowackiej Czadcy. Wieczorem publiczność bawili *Duo Jamaha* ze Słowacji, grupa *Slza*, a dyskotekę poprowadził DJ Kawulok. Gospodarzami dożynek w Nawsiu w tym roku było małżeństwo Tomasza i Sylwii Göblów. ▼



30 W Oldrzychowicach odbyły się Dożynki na Fojstwie. Gospodarzami imprezy byli Halina i Henryk Szlauirowie. Uroczystości rozpoczęto tradycyjnym obrzędem dożynkowym w wykonaniu Zespołu Tanecznego *Oldrzychowice*. Nie mogło też zabraknąć przejazdu ozdobionych maszyn rolniczych. Podczas wydarzenia wręczono Medale Miasta Trzynieć czterem osobom: Henrykowi Szlauirowi, Bogdanowi Kadłubcowi, Markowi Gryczowi oraz Zbigniewowi Steblowi. W programie wystąpiła też Scena Lalek Bajka Teatru Cieszyńskiego, która zagrała spektakl *Księżę Bajaja*. Wieczorem zagrał zespół *Blaf*. ▼



30 W Wierzniowicach odbył się festyn jubileuszowy z okazji 50-lecia Domu PZKO. Uroczystość otworzył prezes miejscowego koła Marcel Balcarek. Gratulacje jubilatów przekazali m.in. Sabina Suchanek, dyrektor Polskiej Szkoły Podstawowej w Lutyni Dolnej, Czesław Gałuszka, prezes MK PZKO Bogumin-Skrzeczoń, oraz Daniel Jakubczyk, wójt gminy Gorzyce. Publiczność mogła obejrzeć występy zespołów *Old Boys Band* z Orłowej-Poręby, ZPiT *Suszanie*, chóru *Zaolzie* oraz *Gimnastów* z Wędryni. Na zakończenie zagrała rockowa formacja *Glazy*.

30 W Hawierzowie-Błędowicach odbyły się Dożynki Śląskie, tradycyjnie zorganizowane przez Miejsowe Koło PZKO. Gospodarzami uroczystości byli państwo Wierzgoniowie. Wydarzenie rozpoczęło się barwnym korowodem oraz obrzędem przekazania chleba i wienca dożynkowego. Część artystyczną uświetniły występy Chóru Męskiego *Goroł*, Zespołu Regionalnego *Błędowice* z kapelą *Partyja*, a także zespołów *Trzanowice*, *Vonička* i *Ševčík*. Całość zakończyła zabawa przy muzyce kapeli *Partyja*.

PAMIĄTKA RODZINNA

INSTRUMENT MUZYCZNY HELIGONKA, pocz. XX w.

Ze zbiorów Renaty Staszowskiej / Opis: Sylwia Grudzeń



Instrument muzyczny należący do rodziny aerofonów języczkowych wolnych, przypominający akordeon. Instrument posiada miech, którego rozciąganie i ściskanie powoduje przepływ powietrza przez metalowe stroiki, wydobywając dźwięk. Z lewej strony znajdują się guziki basowe, z prawej – klawisze melodyczne.

Dekorowana jest motywami kwiatowymi, a na bokach widoczne są napisy „Heligonka” oraz nazwa warsztatu: „W. Kumpha v. Hory”. Heligonka to charakterystyczny typ akordeonu popularny w Europie Środkowej, szczególnie na terenach Czech, Moraw, Śląska, Żywiecczyzny. Instrument ten odgrywał istotną rolę w muzyce ludowej i biesiadnej, towarzysząc tradycyjnym zabawom na wsi.

Heligonka należała do Stanisława Sikory (ojca właścicielki), który grywał na niej podczas różnego rodzaju imprez oraz amatorskich spektakli teatralnych.

Drodzy Czytelnicy i Czytelniczki! Zwracamy się z prośbą o nadsyłanie zdjęć i skanów pamiątek rodzinnych, takich jak dokumenty, listy, fotografie, ale i przedmioty codziennego użytku, meble, obrazy, itp. Pamiątka ma mieć dla właściciela wartość sentymentalną i wiązać się z rodzinną historią. Propozycje prosimy kierować pod adres: sylwia@zwrot.cz, tel. 777 710 648.